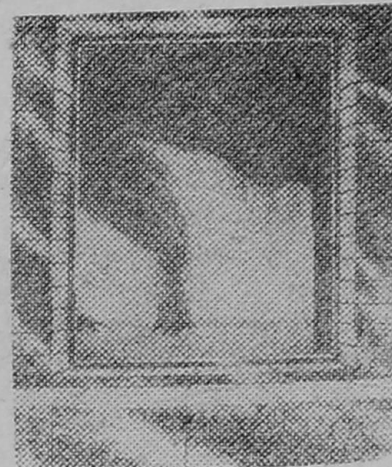


ZAMBROWSKI
ZDZISŁAWCHORUJ
ZDZISŁAWPAMIŁ
DZIELNICYMŁODA
GRAFIKA
WARSZAWSKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY

PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

44

(316)

KONTAKTY

1986-11-02

cena

15 zł



REQUIEM PO MAZURSKU

STANISŁAW SWIERAD

WYROZNIE NIE W KONKURSIE „NIEPOKORNI — NIEPRZEKUPNI”

Nagle zmarł Jan Kawecki. Pojechałem na jego pogrzeb. Do Starych Juch z całej Warmii i Mazur przybyły tysiące ludzi, aby się z nim pożegnać. I wówczas spotkałem znowu Władysława Ratajową. Słyszałem o niej wcześniej od Kaweckiego: „To fanatyczna Polka”. Poznaliśmy się z Kaweckim już w czterdziestym piątym. On był wychowankiem krakowskiego seminarium nauczycielskiego. Pochodził z Wadowie i był prawie rówieśnikiem Karola Wojtyły. Następnie losy rzuciły go w Białostockie; „na kresy”, jak się mówiło w Galicji, albo „za kordon”. Urzekła go tu

obyczajowa egzotyka; ludowe obrzędy weselne, bożonarodzeniowe i wielkanocne w podlaskich Chrabobach, Małynce, Rybnikach i innych wsiach.

Po wojnie zafascynowały go znowu Mazury. Być może sprawił to „Smutek” Wańkowicza, którym się pasjonował jeszcze przed wojną. W Mikołajkach i Starych Juchach zakładał uniwersytety ludowe, które repolonizowały młodzież warmińsko-mazurską i integrowały ją z osadniczą. Właśnie w Starych Juchach podarowała Ratajowa panu Janowi

CIAĞ DALSZY NA STR. 8-9

DZIELNICE ZMARŁYCH

STANISŁAW ZIELŃSKI

Cmentarze — dzielnice wiecznego spoczynku — też mają swoje doczesne kłopoty, których rozwiązywanie trwa czasami wieki. Nowe wymagają uzbrojenia terenu, dogodnej lokalizacji z dostępem do szlaków komunikacyjnych i środków transportu oraz domu cmentarnego, dokąd mogą być przewiezione zwłoki przed złożeniem do grobu. Stałe upominają się o pamięć dla najodleglejszych wieków, wyrażającą się m.in. w stałej opiece konserwatorskiej zabytkowych nagrobków.

Wojewódzka Pracownia Konserwacji Zabytków sporządziła spis ewidencyjny 154 miejsc wiecznego spoczynku, tj. 86 cmentarzy rzymskokatolickich, 23 żydowskich, 37 z pierwszej wojny światowej i 2 ludzi zmarłych na cholerę. W najbliższym czasie zostanie powołana komisja konserwatorska, która określi wartość tych obiektów i zaliczy do odpowiedniej kategorii zabytków. W sprawie niektórych cmentarzy, jak np. tego przy ul. Mikołaja Kopernika w Łomży, decyzję są już podjęte.

CIAĞ DALSZY NA STR. 4



W NASTĘPNYM NUMERZE: „Rewolucja z zeszytów szkolnych”, czyli stan świadomości maturzystów schyłku XX w. ♦ „Czy Łomża może się wybić na uniwersytet?” ♦ młodość i dojrzałość Łomżyńskiego Klubu Sportowego ♦ przedsiębiorstwa polonijne — czyj to interes? ♦ „Kontakiki” ♦ Feargal Sharkey.

CO NAM KOMPLIKUJE ŻYCIE?

Jak realizować przyjęte zadanie? Jaka w tym rola członków partii? — nad tymi m.in. pytaniami zastanawiali się delegaci na XVIII Miejskiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Łomży (24 X 86 r.).

Głosy z dyskusji:

• Teresa Koćwin, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 5: — Zapotrzebowanie społeczne na naukę języka zachodniego, zwłaszcza angielskiego, jest ogromne. Można walczyć nie tylko czelgami i atomem, ale i językiem, z tym że najpierw trzeba go znać. W Łomży kadry brak, pomieszczenie może być się znalazło. Ludzi różnych innych zawodów uznaje się za specjalistów i zapewnia im mieszkania. Czemu wykwalifikowanego nauczyciela potrzebnej specjalności nie uznać za fachowca?

• Marek Minda, zastępca dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego: — Martwi nas tempo budowy szpitala. Jeżeli dojdzie do kolejnego posłizgu, bardzo drogi sprzęt specjalistyczny, który będziemy sukcesywnie gromadzić, wyładuje zapewne w jakimś zakamarku, oczekując sposobnej chwili wywiezienia na złom. Mamy też nadzieję, że w trakcie wykańczania jednego budynku, poprzedni wytrzyma próbę czasu i uruchomienie całego obiektu nie zacznie się od remontów.

• Barbara Nasarzewska, funkcjonariusz Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych: — Uważam, że winniśmy jak najszybciej znaleźć sposoby, i realizować je, zmierzające do ograniczenia alkoholizmu w społeczeństwie naszego miasta, a tym samym skutków tego nałogu. Powinny być to działania wielorakie, angażujące wszystkich członków partii, instytucje państwowe i organizacje społeczne.

• Stanisław Kaseja, prezes PSS „Społem”: — Naszym codziennym działaniem powinno być wypracowywanie nawyku dobrej, rzetelnej, solidnej i uczciwej pracy, wypracowanie nawyku oszczędzania materiałów, surowców, paliw, energii. Troska o mienie społeczne. To są koszty naszego utrzymania.

Delegaci wybrali 55-osobowy Komitet Miejski oraz 25-osobową Miejską Komisję Kontrolno-Rewizyjną. Funkcję I sekretarza KM PZPR powierzono Tadeuszowi Zarembe; po raz pierwszy sekretarzem KM został Krzysztof Jasiński, ponownie wybrano na tę funkcję Teresę Polecką-Gryczan i Mikołaja Kisielewskiego. Jan Okoński przewodniczy MKKR.

PREZYDIUM WK SD w Łomży pozytywnie oceniło działalność Oddziału Wojewódzkiego OST „Gromada” i Ekspozytury PBP „Orbis”. Wnioski: należy dążyć do utworzenia nowych agend „Orbisu”, rozbudowy hotelu „Polonez” w Łomży, zapewnienia lepszych warunków dla wypoczynku sobotnio-niedzielnego oraz możliwości rezerwacji biletów PKS na linie w całym kraju.

KIEROWNICTWO Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Łomży, z udziałem władz społeczno-administracyjnych miasta i województwa, spotkało się z rodzicami, których więcej niż trzech synów odbywa lub już odbyło zasadniczą służbę wojskową. Goście zapoznali się z warunkami życia i szkolenia bojowego w jednej z jednostek Warszawskiego Okręgu Wojskowego, zwiedzili Salę Tradycji, izby i świetlice żołnierskie. Uchonorowani zostali przez ministra obrony narodowej medalami „Za Zasługi dla Obrony Kraju”. Wyróżnienie to otrzymali: Marianna Piątkowska ze wsi Dzierżbia, gm. Stawiski (5 synów), Adolf Cebeliński z Rajgródu (5), Józef Jakubiak z Tarnowa, gm. Miastkowo (7), Jadwiga i Ignacy Rybicki ze Stawisk (6), Stefania i Franciszek Kordasowie z Rogienic Wielkich, gm. Mały Płock (4), Natalia i Alfred Wroceńscy (5), Helena i Władysław Chojnowscy z Łomży (7), Anna i Władysław Bednarczy z Nowej Rudy, gm. Turośl, oraz Marianna i Julian Kozłowski. Gratulujemy.

ZDZISŁAW OŁĘDZKI, traktorzysta z Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Szepietowie, odznaczony został na spotkaniu z Wojciechem Jaruzelskim w Belwederze Złotym Krzyżem Zasługi. Gratulujemy.

SPOŚRÓD 21 WIEJSKICH KLUBÓW „RUCHU” 33 mieszczą się w remizach strażackich, a 48 w wynajętych, prywatnych budynkach. Piętnaście procent gospodarzy klubów posiada wykształcenie średnie; pozostali to absolwenci szkół podstawowych i zawodowych.

O ROLI NAUCZYCIELI w pracy samokształceniowej ZMW dyskutowali, na wspólnym posiedzeniu w Grądach Wonięcku, komisje ideowo-wychowawcze Zarządu Krajowego i Zarządu Wojewódzkiego ZMW w Łomży z udziałem nauczycieli z Suwalskiego, Ostrołęckiego, Olsztyńskiego, Ciechanowskiego, Białostockiego i Łomżyńskiego. Roman Sobiecki, wiceprzewodniczący Komisji Ideowo-Wychowawczej ZK ZMW: „Pilnym zadaniem ZMW jest wprowadzenie takich form i metod działania, które przyciągną do naszej organizacji pedagogów. Nauczycieli widzimy w roli przewodników, opiekunów kół w pracy samokształceniowej”.

DYNAMIKA SKUPU żyweca wieprzowego w Łomżyńskim wynosi ponad 140 proc. w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. Niestety, wzrost dostaw węgla wynosi tylko 5 proc.

W WOJEWÓDZTWIE na 101 urzędów pocztowo-telekomunikacyjnych tylko 17 mieści się we własnych budynkach, pozostałe wynajmują lokale u rolników.

STACJA DOŚWIADCZALNEJ OCENY odmian w Krzyżewie (gm. Jokoły) w ciągu roku gospodarczego prowadzi 51 doświadczeń, w tym: 12 na zbożach, 6 na okopowych, 2 na roślinach przemysłowych, 7 na motylkowych i 24 na trawach.

CO PIĄTY MIESZKANIEC województwa korzysta z usług biblioteki. Mieszkańcy wsi częściej odwiedzają biblioteki niż „mieszczuchy”. Na 120 wiejskich bibliotekarzy dwie osoby posiadają wyższe wykształcenie, trzy ukończyły studium bibliotekarskie, 83 mają średnie wykształcenie ogólne, a pozostałe tylko szkołę podstawową. Wszystkie biblioteki prowadzą ożywioną działalność propagującą czytelnictwo książek; działa przy nich 13 stałych zespołów teatralnych i recytatorskich oraz 39 kół plastycznych.

PANSTWOWE ZAKŁADY Profilaktyki i Lecznictwa Weterynaryjnego w Łomżyńskim (łącznie 46 zakładów) sprawują stałą opiekę weterynaryjną nad: 283 853 sztukami bydła, 429 871 — trzody chlewnej, 39 665 — koni, 97 100 — owiec, 850 tysiącami sztuk drobiu. Od kilku lat w województwie nie ma zachorowań na gruźlicę i brucelozę, natomiast nadal groźna i częsta jest warroza pszczoł i włośnica świń.

PROF. ALEKSANDER GIEYSZTOR, wybitny uczony, historyk, dwukrotnie przewodniczący jury konkursu „Kontaktów” o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera, obchodził 70-lecie urodzin i 50-lecie pracy naukowej. Do wielu serdecznych

życzeń Jubilatowi dołącza się również redakcja.

RZEMIOSŁO ŁOMŻYŃSKIE wpłaciło 2218 tysięcy zł na konto budowy szkoły podstawowej we wsi Kaletniki koło Suwałk, popierając w ten sposób wspaniałą inicjatywę rzemieślników białostockiej Izby.

WIEJSKA SŁUŻBA ZDROWIA chora: w 9 ośrodkach zarowia nie ma stałej obsługi lekarskiej, a w 15 — stomatologów. Aby zaspokoić najpilniejsze potrzeby, Izba zatrudnia na wsi 37 lekarzy i 18 stomatologów. Na przeszkodzie stoi brak mieszkań, ale nie tylko, gdyż np. w Grabowie, Wyszonaach, Kolutach, Rutkach, Miastkowie i Przytulach — mieszkania czekają na lekarzy.

DZIKIE DZIECI, perkozy, kurki wodne, bekasy, kuliki, czaple i bociany to najpopularniejsze ptaki żyjące w unikalnym mikroklimacie doliny Narwi. Łącznie żyje tu prawie 180 gatunków ptactwa, z czego 110 wymaga tylko środowiska wodno-bagiennego.

„DROGIE DZIECI, Kochane dzieci, Baraże lubię z Wami pracować, bo nie ma dla mnie droższego na świecie ponad Was. Jeszcze raz dziękuję za przyznanie mi, za waszym wstawiennictwem, Orderu Uśmiechu. Jest to ogromny dla mnie zaszczyt. Stał się przeto bliższy. Polska to moja druga ojczyzna, w której najważniejszym miastem jest Łomża” — tymi słowami przemówił do uczniów Szkoły Podstawowej nr 1 w Łomży znany już nam i niezwykle bliski, przez swoją serdeczność do najmłodszych mieszkańców naszego miasta — Alex Eckert, Szwajcar z Bazylei, ayrygent, reżyser i nauczyciel muzyki, działający od wielu lat dla dzieci i z dziećmi, prezydent światowej fundacji „Muzyka i Dziecko”. Pragniemy poinformować, iż wspólnie z panem Alexem łomżyńskie dzieci będą przygotowywały następny utwór, („Diabeł z trzema złotymi włosami”). W Szkole Podstawowej nr 1 w Łomży odbywają się już wstępne eliminacje najmłodszych kandydatów na aktorów.

ŁOMŻYŃSKIE jest jednym z trzech województw, obok szczecińskiego i wałbrzyskiego, w którym w bieżącym roku szkolnym wprowadzono sportowe wywiadowki. Celem ich jest zainteresowanie rodziców problemem rozwoju fizycznego i sprawnością ich dzieci. Sportowe wywiadowki prowadzone są w połowie szkół województwa, m.in. w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Zambrowie, w szkołach podstawowych: nr 1 w Łomży, nr 2 w Kolnie, w Czerwonym. Obowiązkowo wprowadzenie wywiadowki z kultury fizycznej do planów pracy szkoły przewiduje się w roku szkolnym 1988/89.

ŁOMŻYŃSKIE posiada 12 miast: jedna jest w Polsce Łomża, jeden Ciechanowiec, Goniądz, Jedwabne, Stawiski, Zambrow i Wysokie Mazowieckie, ale nazwę Kolno ma jeszcze 6 wsi (w woj. gorzowskim, konińskim, pilskim, olsztyńskim, siedleckim, toruńskim) i 1 osada (koszalińska). Grajewo jest w Gdańskim i Suwalskim (wsie), Nowogród w Lubelskim i Toruńskim (wsie), Rajgród w Bydgoskim (osada), a Szczuczyn w Poznańskim (wieś).

KWESTA NA RENOWACJĘ zabytków cmentarzy w Łomży tym razem trwać będzie dwa dni (1 i 2 listopada). Dotychczas zebrano 100 tysięcy złotych, za które odnowione zostały trzy zabytkowe nagrobki i XVI-wieczna figura kamieniana.



TADEUSZ ZAREMBA, I sekretarz KM PZPR, urodził się 25 stycznia 1952 r. w Łomży w rodzinie robotniczej, członek partii od 1974 r. Po ukończeniu studiów na Wydziale Mechanicznym, Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej rozpoczął pracę jako asystent w Instytucie Techniki Lotniczej tej uczelni. W latach 1981—1984 był nauczycielem w Zespole Szkół Mechanicznych w Łomży. Od 1984 r. pełnił funkcję sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR. Jest przewodniczącym Miejskiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole; odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Wraz z żoną Grażyną, zatrudnioną jako asystent w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, wychowuje dwoje dzieci: pięcioletnią Ewę i 6-letniego Pawła. Hobby: turystyka i literatura historyczna.

KRZYSZTOF JASIŃSKI, sekretarz KM PZPR, urodził się 5 listopada 1947 r. w Elku w rodzinie inteligentnej. Do PZPR wstąpił w 1965 r. Jako absolwent Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej pracę rozpoczął w 1967 r. w plockiej „Petrochemii”. Od 1968 r. był pracownikiem Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego; ostatnio na stanowisku kierownika Wydziału Gospodarczego. Jest wiceprzewodniczącym Zarządu Zakładowego TKKF. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi i Medalem 40-lecia Polski Ludowej. Rodzina: żona Ewa (pracuje w Wojewódzkim Zakładzie Transportu Mleczarskiego jako specjalista ds. fakturowania i rozliczeń), dwaj synowie — 15-letni Adam i 7-letni Marcin. Zainteresowania pozazawodowe: praca na działce i motoryzacja.

JAN OKOŃSKI, przewodniczący MKKR, urodził się 8 września 1945 r. w miejscowości Osiek n. Notecią (woj. piskie) w rodzinie chłopskiej. Jest członkiem partii od 1967 r. Absolwent Wydziału Ekonomii i Rolnictwa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. W latach 1968—1975 pracował w PGR-ach województwa olsztyńskiego, następnie w Wojewódzkim Związku Kółek Rolniczych w Łomży. Od 1977 do 1980 r. pełnił funkcję zastępcy dyrektora Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego; obecnie jest dyrektorem tej instytucji. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Żona Anna pracuje jako starszy inspektor wojewódzki w Wojewódzkiej Komisji Planowania. Ich dzieci to 16-letnia Agnieszka, uczennica II klasy Liceum Ogólnokształcącego, i 14-letni Rafał, uczeń VIII klasy. Hobby: działka, wędkarstwo i majsterkowanie.

sprostowanie

Do notatki biograficznej Marka Strzalińskiego, wojewody łomżyńskiego, opublikowanej w poprzednim numerze, wkładło się przekłamanie. Podaliśmy, że jest doktorem nauk weterynaryjnych zamiast — lekarzem weterynarii. Zainteresowanego i Czytelników przepraszamy autor „Zdarzeń” — Stanisław Zieliński.

zaprosili nas

Łomżyńska Orkiestra Kameralna — na operę komijną Wolfganga Amadeusza Mozarta „Dyryktor teatru”; Towarzystwo Wiedzy Polskiej w Łomży — na posiedzenie plenarne ZW.

zdanie tygodnia

— Polacy zupełnie nie interesują się wpływem sytuacji i systemów gospodarczych na narodową psychikę, sądząc, że są ponadto, że obronią się chodząc do kościoła i że to wystarczy — Bóg zapłaci...

Stefan Kisielewski

myśl z atesiem

„Skostnienia uważa się często za skryzalizowania”.

Karol Irzykowski



CO TU PO MNIE ZOSTANIE?

JAN ONISZCZUK: — Jak to się stało, że zostałem Pan włóknikiem?

ZENON ADAMCZYK: — Mieszkałem i wychowywałem się w Łodzi (choć urodziłem się w Felicjanie, wsi, która dziś należy do Nowego Sącza), nie opodal Zakładów im. Marchlewskiego, i zewsząd docho- dziły opowieści, jaka to wielka fabryka i ile w niej maszyn. Wów- czas cała technika wydawała mi się nie istnieć poza przemysłem włó- kienniczym.

— Studiował Pan na Politechnice Łódz- kiej?

— Tak. Od 1947 do 1952 roku. Na dyplomowym roku pracowałem już jako podmistrz w Zakładach 1 Maja. Do podejmowania pracy jeszcze podczas studiów gorąco namawiał nas nestor polskiego włó- kiennictwa, profesor Paweł Prindisz. Często sam nam ją załatwiał. Zgod- nie z jego koncepcją, inżynier po otrzymaniu dyplomu i przyjeździe do fabryki powinien przedstawiać już jakąś wartość praktyczną: mieć do- świadczenie wielkoprzemysłowe, aby później pierwszy lepszy robotnik nie wpuszczał go „w maliny”. Te- maty prac magisterskich czerpa- łem też z konkretnych przedsię- wzięć. Ja wykonałem projekt mo- dernizacji przedziału w Zakładach 1 Maja. Po studiach, z nakazem pracy, trafiłem do „Marchlewskie- go”, gdzie po sześciu miesiącach zostałem kierownikiem wydziału liczącego 3200 osób.

— W pół roku? Toż to zawrotna karie- ra.

— Trzeba spojrzeć na to nieco inaczej. Cała branża cierpiała na chroniczny niedobór kadr z wyż- szym wykształceniem. Należałem do pierwszej osiemnastki inżynierów włókienników wykształconych w Polsce Ludowej.

— W każdym razie początek miał Pan obiecujący. Co Pana skłoniło do opu- szczenia wielkiego miasta i przyjazdu na głęboką prowincję?

— Sprawa bardzo prozaiczna: mieszkanie. Już wtedy był to zna- komity magnes. W tym czasie w mojej branży budowano zakłady w Białymstoku, Piotrkowie i Zambro- wie, a rozbudowywano w Andry- chowie. Trafiłem akurat na zamb- rowski zaciąg i w 1954 r. wyłodo- wałem jako kierownik przedziału, a po roku zostałem naczelnym in- żynierem.

— Jak wyglądał wówczas Zambrow?

— Bez butów gumowych nie da- ło się zrobić nawet kroku. Właści-

wie miejskie urządzenia zaczął bu- dować nowy zakład. Na przykład: ułożyliśmy pierwszy chodnik o sze- rokości trzech płytek. To była wte- dy wielka sprawa.

— A budowa fabryki? Podobno mie- liście doskonałe tempo.

— Na dzisiejsze warunki: na pe- wno. W trzecim kwartale 1953 r. zaczęto kłaść stopy fundamentowe; w pół roku później rozpoczął się montaż maszyn; w lipcu 1954 r. ru- szyli pierwsze maszyny do produk- cji finalnej; w lipcu 1955 fabryka pracowała na dwie zmiany. Rozpę- dziliśmy się tak bardzo, że na prze- łomie lat 1956 i 1957 trzeba było

— Czytałem ten artykuł i nie zga- dzam się z jego tezami. Zresztą, dotyczy to nie tylko „Po prostu”, ale i „Gazety Białostockiej”. Przed- stawiały one socjalizm jako ustrój, w którym gołąbki same wpadają do gąbki. Krzychały: „Patrzcie, oni wam tu nic nie dali”. Jako przy- kład prezentowano dziewczynę, która zarobiła 320 złotych za mie- siąc. Tylko nie uwzględniono fak- tu, że ta dziewczyna pracowała tydzień, bo do dłuższej pracy nie dawała się zmusić, a źródła jej u- trzymania były, ostrożnie mówiąc, niejasne. Nieraz rozmawiałem z młodymi dziennikarzami, młymi ró- wieśnikami; mówiłem: „Uważajcie, co robicie, nie podawajcie takich przykładów”.

no potrzeby robotników. W 1957 z miasta wyprowadzono wojsko. Odkupiliśmy ich budynki i teren, trochę zbudowaliśmy i w ciągu czterech lat zakład wzbogacił się o 1000 mieszkań.

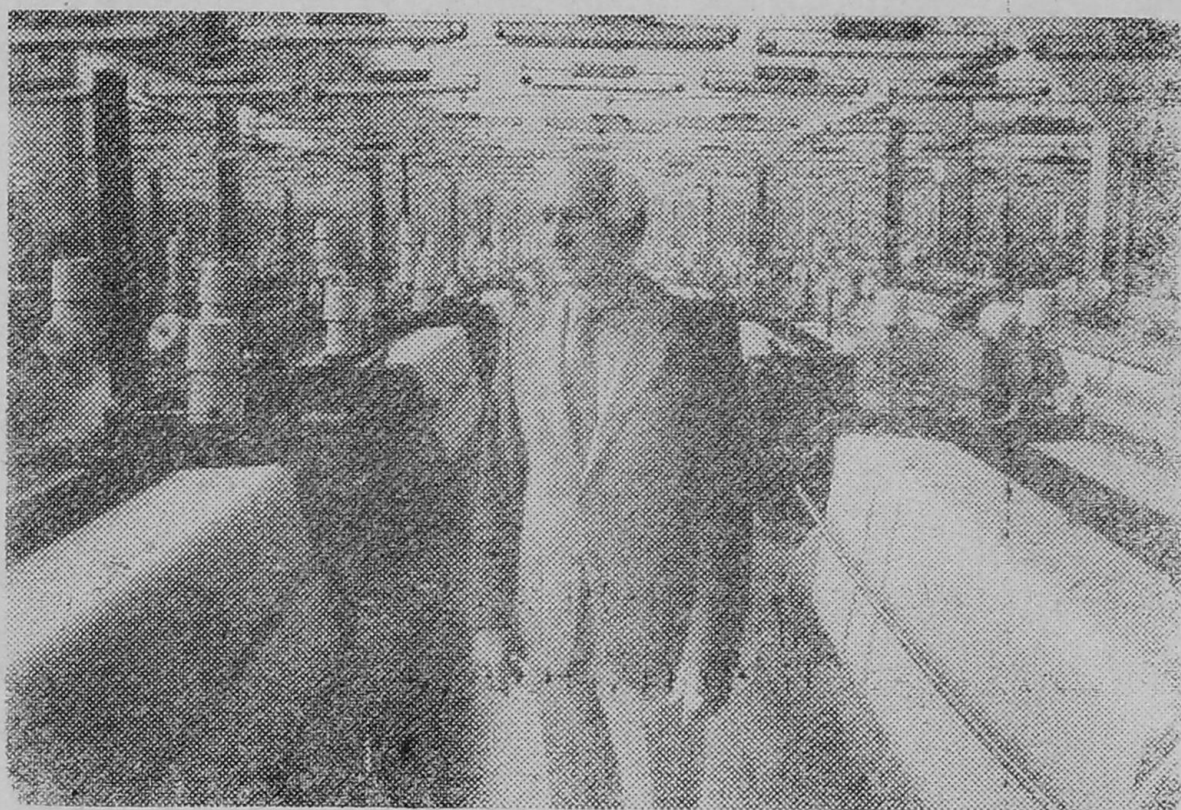
— Ponad 30 lat pracował Pan w prze- myśle, 11 lat kierował dużym przedsię- wzięciem. Jak z tej perspektywy oce- nia Pan próby usprawiedliwienia naszej gospodarki?

— Przez cały czas mojej pracy system zarządzania zmierzał ku większej samodzielności przedsię- wzięcia. Proces ten nie przebiegał jednak bez zakłóceń. Samodzielność rosła, potem: stop, kilka kroków wstecz i znów do przodu. Na wy- kresie wyglądałoby to jak zęby pi- ły tarczowej. Największym błę- dem było i jest to, że nasze ośrod- ki władzy nie wytwarzają nacis- ków i wycofują się z raz powzię- tych decyzji, zanim zdążą się one sprawdzić. Na przykład Wielkie Or- ganizacje Gospodarcze w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych miały doskonałe perspektywy, sporo sa- modzielności, a nawet pewne na- miastki bankructwa w swoich za- sadach. Po kilku latach okazało się, że niektórzy wypracowali dużo, in- ni zaś mało. Ci ostatni podnieśli krzyk, że dzieje się niesprawiedli- wość, a cierpią na niej załogi. Więc urzędnicy w ministerstwach zabrali jednym i dali drugim. Od tej pory lepsi nie są frajerami i nie ujawniają swoich możliwości. Sa- modzielność to dobra rzecz, ale ra- zem z odpowiedzialnością.

— Pracował Pan 28 lat w jednej fir- mie; to dużo. Co z tych lat uważa Pan za swój sukces, a co za niepowodzenie?

— Mój sukces? Chyba to, że u- dało mi się tę fabrykę trochę zmie- nić. Oczywiście, nie mnie jednemu. Wypracowaliśmy zasady rozwoju tak, że żadna technologia nie może zdominować się u nas na dłużej. Jednak porażek było znacznie wię- cej. Szczególnie tych drobnych, nie- unikniętych w dyrektorskim fachu. Ale przynajmniej dwie mają swoje niedobre skutki do dziś: przede wszystkim nie udało mi się spro- wadzić dobrych przewijarek; popie- niłem błąd w sztuce doboru part- nera. Po drugie: w mojej wyobraź- ni nie mieściła się hipoteza, że tak szybko zmniejszy się ilość chętnych do pracy we włókiennictwie. Jesz- cze w 1978 r. było ich 3700, teraz jest 2700. Wiąże to ze zwiększeniem się liczby miejsc pracy w innych branżach przemysłu. No cóż, nie przewidziałem, a można było temu zaradzić wprowadzając nowe, pra- cooszczędne technologie. Od pięciu lat jestem na emeryturze i przy- znam się, że nawet nie przypusz- czałem, ile mam w przedsiębior- stwie przyjaciół.

zambrowski



zaciąg

— Czyli wszystko było w porządku?

— Ależ nie! Można powiedzieć, że w Zambrowie zapomniano o lu- dziach. Zaplanowano fabrykę, trzy hotele i to miało wystarczyć. Sie- demnastoletnia dziewczyna może wytrzymać w hotelowym rygorze dwa-trzy lata, ale nie całe życie. Nie było warunków do założenia rodziny, macierzyństwa, a więc spraw najważniejszych. Dziewczeta były odizolowane, zniechęcone przez otoczenie, stały ogromnie na- pięczone i poczuły beznadziejność. Dopiero po 1956 inaczej potraktowa-

JEDNO MAM ŻYCIE

Takie hasło otrzymała III edycja ogólnopolskiego TURNIEJU RE- PORTERÓW im. MELCHIORA WANKOWICZA, którego organizato- rami są „Kontakty”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza oraz Wydział Kultury i Sztuki UW w Łomży.

Tzw. życie można rozpatrywać różnorako. Nas nie interesuje jed- nak ono z punktu widzenia wieczności, czyli Salomonowej marności nad marnościami, ani też pod kątem Owidiuszowego biadolenia, iż „Czas upływa, a my się starzejemy wraz z cicho bieżącymi lata- mi”, co przywodzi na myśl jedynie napis na starych zegarach: „Wszystkie ranią, ostatnia zabija”.

Chcielibyśmy prosić uczestników Turnieju o refleksję nad życiem takich ludzi, którzy przetamali tyranię zwyczaju i zrobili więcej, niż wymagał od nich tego obowiązek; którzy nie zrażeni niepowodze- niami własnymi i cudzymi, nie rezygnowali ze swoich dążeń czy ra- cji tylko dlatego, aby mieć spokój i wielu przyjaciół; którzy jeśli błędzili, to nie z głupoty, lecz z pobudek serca, czego często ro- zum nie pojmuje. Bowiem różne są miary wartości i sukcesu; co dla jednych bywa symbolem upadłości, dla innych symptomem zwy- cięstwa — w zależności od tego, czyje dobro jest dla nich najwa- żniejsze.

Nie szukajmy przeto bohaterów, którzy na pytanie: „Co robiłeś?” — mogą jedynie odpowiedzieć: „Żyłem”, ale nie omijajmy tych z życiem „złamanym”, „zmarowanym” czy „zwichniętym”, jeżeli ich tragedie wynikły ze złe wybranych celów czy z pomyłek w sposo- bach ich osiągania.

Prace w trzech egzemplarzach (do 12 str. maszynopisu znormali- zowanego), wcześniej nie publikowane, opatrzone godłem i zamknię- tą kopertą z danymi o autorze, należy nadsyłać do końca lutego 1987 r. pod adresem redakcji „Kontaktów”: ul. Świerczewskiego 7a, 18-400 Łomża. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierw- o d r u k u nadesłanych reportaży, a za tematy wzięte z Łomżyńskiego (udokumentowane i zakwalifikowane do druku) przyznają wadium (po otwarciu kopert) wysokości 15 000 złotych.

JURY w składzie: Stefan Kozicki (przewodniczący), Jan Bijak, Krys- tyna Goldbergowa, Leon Janiczak, Andrzej Mularczyk, Stanisław Za- górski i Stefania Henczelowa (sekretarz) — ogłosi wyniki w kwiet- niu 1987 r. i przyzna:

■ **MEDAL MELCHIORA WAN- KOWICZA i NAGRODĘ wysokości 100 000 złotych**

■ **PIĘĆ WYRÓŻNIEŃ po 40 000 złotych każde.**

Ogólna suma wyróżnień może zostać podzielona inaczej.



Łomżyńskie Powiaty

Nietrudno dowiedzieć, iż historia tego najstarszego łomżyńskiego cmentarza od pierwszych dni jego powstania ściśle się wiąże z dziejami miasta, regionu, a nawet całego kraju. W Wojewódzkiej Pracowni Konserwacji Zabytków jest on więc opracowany najpełniej. Ma swych rodowód i legendy najbardziej cennych architektonicznie nagrobków oraz zalecenia konserwatora.

Powstał prawdopodobnie w 1801 r., a więc po sześciu latach od III rozbioru Polski. Łomża znajdowała się wówczas w pruskiej prowincji Neue Ost Preussen i podlegała ustawodawstwu państwa zaborczego. Ponoć jeszcze w 1791 r. liczyła 190 domów i około 1104 mieszkańców.

Jeszcze bardziej wstrząsający opis znajduje się w notatce z 1899 r.: „W części starego cmentarza mamy szereg grobowców murowanych, przeszło 200 lat temu; mur w tych grobowcach po trosze zawala się, nikt nie pomyśli o podtrzymaniu, a w jednym z nich wywalit kawał ściany i przechodnie mają sposobność nauce przekonać się, co będzie z ich ciałem w przyszłości; widzimy spróchniałe szczątki trumny ze spleśniałymi kośćmi. Grobowce stoją nad powierzchnią ziemi; szczątki nieboszczyków leżą na wysokości 1—1,5 łokcia nad powierzchnią, choćby więc kto nie chciał, musi potrzebować widok dosyć przyjemny, a wycieczki z tego otwartego i młodych potrzebujących grobów nade-

stąpić”. W 1904 r. łomżyńska Kasa Pogrzebowa liczyła 200 członków. Nie zyskała jednak szerszego poparcia, bo w ciągu dwóch lat istnienia udzieliła tylko jednej zapomogi. Założyciel ustalił wpisowe w wysokości jednego rubla, 20 kopiejek pobierał za ustawę i rubla jako pierwszą składkę. W zamian za to spadkobierca otrzymywał tyle rubli, ile Kasa liczyła członków, z potrąceniem 10 procent.

Cmentarz przy ul. Mikołaja Kopernika słynie ze współistnienia grobów ludzi o różnych wyznaniach. Został ewangelicki przejęty w całości w 1977 r. gospodarka komunalna, a 25 września 1979 r. wiceprezydent miasta przekazał parafii rzymskokatolickiej dwie działki o powierzchni 7614 metrów kwadratowych w dzierżawę na 50 lat. Gracze pomiędzy obu cmentarzami wyznacza tylko symboliczny murek.

ma Penkalę i Wojciecha Warcholę. Cmentarz stary, położony przy ulicy Wozwodzkiej, to obiekt zdemontowany. Znaczna ilość maczew (nagrobków — przyp. S.Z.) jest obalona lub ścięta tuż przy ziemi. Przez cmentarz biegnie ścieżka łącząca ulicę Wozwodzką z ulicą Rybaków. Teren cmentarza, szczególnie w okolicy Wozwodzkiej, jest wysypiskiem śmieci. Odnotowano około 140 nagrobków. Około 20, analizując formę i tekst, informuje o znaniach w połowie XIX wieku, zaś około 40 — w drugiej połowie XIX wieku.

Cmentarz „nowy”, założony u schyłku XIX wieku przy ulicy Waskiej 60, zawiera ponad 250 nagrobków, dom pogrzebowy oraz tzw. chel, tj. murawany grobowiec rabina lub cadyka. Oba cmentarze — stwierdzają autorzy „Uwag” — są obiektami zapomnianymi, pominię-

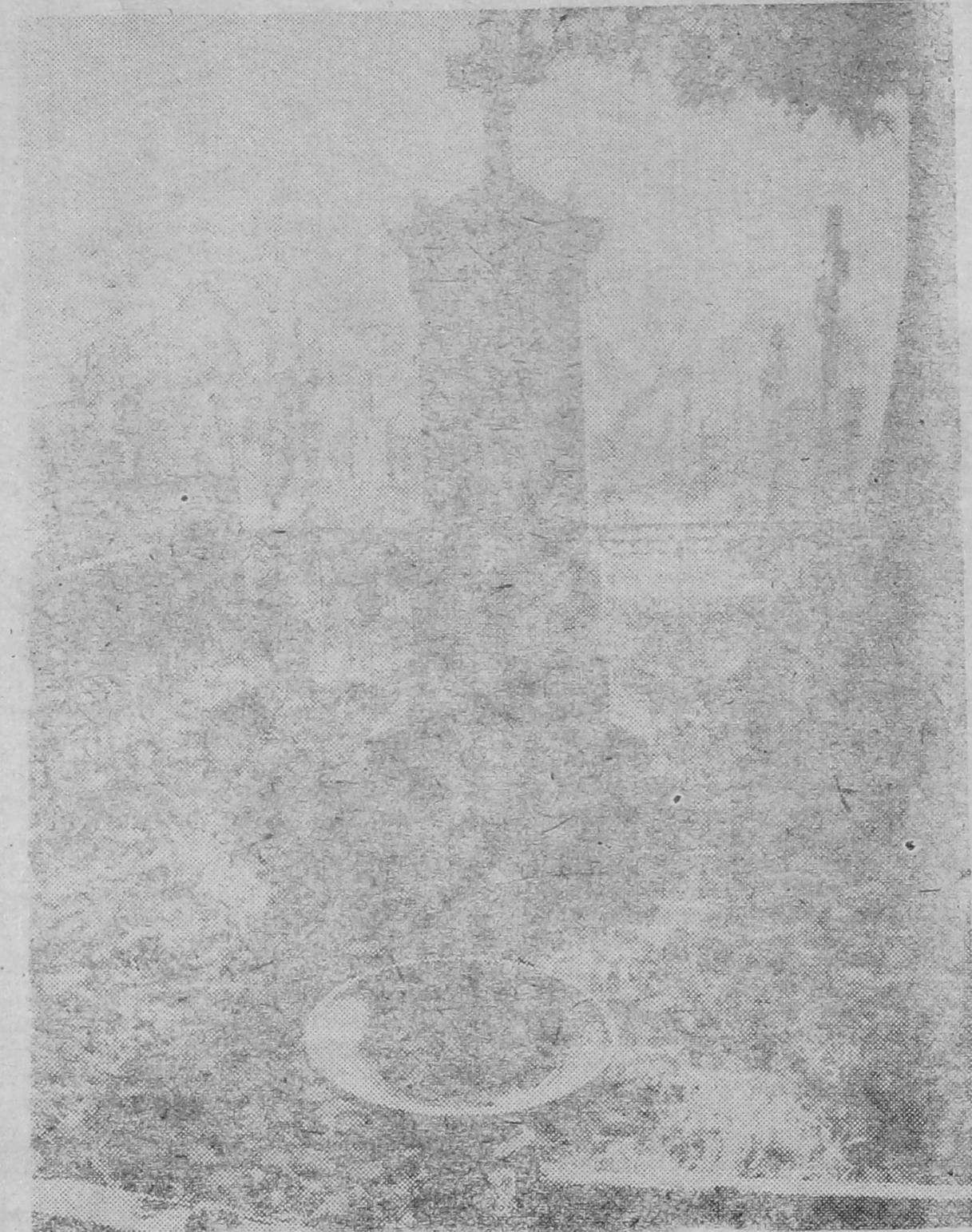
DZIELNICE ŻYDOWSKIE

a po ośmiu latach — według danych Ordnungs Kommission — 1177 mieszkańców oraz 289 domów krytych gontami, w tym trzy urzędowe, 4 kościoły, 94 place niezabudowane, 2 młyny, wiatrak, 3 szynki, 18 browarów, 3 gorzelnie, 18 stugni. Wymieniona komisja miała czuwać nad porządkiem w mieście, przyłączonych do Prus, dbać o ich stan sanitarny i zakładać cmentarze. Miejsce pogrzebowym był w Łomży plac przykatedralny pod wezwaniem św. Michała Archanioła i Jana Chrzciciela, spełniający tę funkcję od 1504 roku. „Teren pod nowy cmentarz — czytamy w opracowaniu komisji — stanowił piaszczyste wzgórze należące niegdyś do gruntów szlacheckich i położone poza miastem przy drodze wiedzącej do Giełczyna i Zawad. [...] Plan pochówku obejmował 2 morgi i 25 pretów reńskich kwadratów powierzchni. Obie gminy — katolicka i protestancka — zobowiązane zostały do wyznaczenia miejsc pochówku, podziału na kwatery, obsadzenia terenu drzewami oraz utrzymywania swojej części w idealnym porządku. Ależki miały być wytyczone w dalszej kolejności.”

Aż 38 lat czekali łomżniacy na kaplicę cmentarną. Gest Mateusza Smiarowskiego, patrona Trybunału Łomżyńskiego, i zarazem hołd dla jego żony, Wincenty z Rupieńskich, rozwiązał ten problem. Kaplica powstała w 1838 r. i w tym samym czasie ofiarodawca przekazał ją parafii katolickiej wraz z sumą 800 złotych na utrzymanie i 1200 — na odprawianie mszy za dusze zmarłych.

Przepisy grzebania ciał nieboszczyków sprecyzowały w 1846 r. Rada Administracyjna Królestwa i Policja Lekarska, które wprowadziły m.in. dwa rodzaje grobów: stałe (z nagrobkami z kamienia i żelaza) oraz czasowe (z krzyżami drewnianymi). Należało je kopać na głębokość 7 stóp o wymiarach 7x2,5 z odstępem 0,5 i 2 stopy. Powtórnie grzebać w tym samym miejscu można było za 15—30 lat. Tylko zmarli w wyniku epidemii byli chowani w oddzielnym miejscu i tak, „aby ich doty grobowce nie były później odkopywane”. Grzebać zmarłych należało najpóźniej po 48 godzinach, a do czasu pogrzebu pozostawali oni pod dozorem najbliższych.

Historia przekazała wiele krytycznych notatek o złym stanie cmentarza, wyrażających niepokój o jego dalsze losy. „Przykre wrażenie robi nasz cmentarz grzebalny — podawała miejscowa prasa — tem przykrejsze, jeśli się go porówna z cmentarzami innych wyznań w sąsiedztwie z nim będącymi. Główna aleja, a może i jedna boczna w nowej dzielnicy przedstawia się jeszcze jako tako, bo tu spoczywają zwłoki niedawno zmarłych, których rodziny otaczają ich nagrobki jeszcze swoją opieką, zresztą i same nagrobki są nowe. Za to dzielnica dawna, czyli stary cmentarz, przedstawia widok bardzo smutny. Wiele mogił zapadło się, nagrobki zrujnowane, inne z ziemią zrównane.”



muszą być pożyteczne dla zdrowia, jeżeli ani dozór kościelny, ani Komisja Sanitarna nie stara się o usunięcie tego”.

Dozór kościelny protestował przeciwko tak dramatycznemu opisowi cmentarza, posadzając autora o przesadę. Wyjaśnił też, że winę za stan najbardziej zaniedbanych grobów ponoszą osoby prywatne. Spór trwał, a po dwóch latach grobowce zawalili się. Apele w prasie lokalnej zamieszczano jeszcze wielokrotnie. Zmianę na lepsze przyniósł dopiero rok 1901. Cmentarz został wreszcie uporządkowany. Ksiądz Dereszkiewicz rozpoczął zbiórki na budowę studni, lecz wykonano ją tylko do połowy i zawalono ziemią, gdyż na ukończenie zabrakło pieniędzy. Porządkowano również otoczenie cmentarza. Zlikwidowano m.in. świnie, który mieścił się po jego północnej stronie, i przeniesiono za miasto, ale także w niewłaściwe miejsce, tzn. w sąsiedztwo starych mogił żydowskich.

W 1902 r. ukończyła się w Łomży — z inicjatywy Edmunda Gaberta — Kasa Pogrzebowa, wzorowana na powstałej wcześniej w Płocku. Mogły do niej należeć „osoby obojga płci, wszelkiego stanu, wyznania chrześcijańskiego, w wieku od lat 21 do 60, z wyłączeniem wszakże wychowawców zakładów naukowych i żołnierzy niższych

"a' al ša' al ows'i

O ile cmentarz przy ul. Mikołaja Kopernika wymaga tylko rewaloryzacji i stałej konserwatorskiej opieki, to najstarszy żydowski kirkut, założony przy ul. Rybaków, nadaje się jedynie do rekonstrukcji. Przedstawiciele Społecznego Stowarzyszenia Żydów w Polsce podjęli ostatnio tę trudną kwestię na wspólnym spotkaniu z władzami miasta oraz łomżyńskim zarządem Stowarzyszenia Wisła-Odra. Zostaną tu zasadzone drzewa, uporządkowane pomniki ze znakami kahałów, a cały obiekt stanie się parkiem dostępnym dla wszystkich mieszkańców miasta.

Najstarszy łomżyński kirkut, choć powstał zaledwie o 21 lat później od cmentarza przy ul. Mikołaja Kopernika, ma w Wojewódzkiej Pracowni Konserwacji Zabytków znacznie uboższą literaturę. W karcie ewidencyjnej stwierdza się tylko, iż jest cmentarzem dawnym, założonym w połowie XIX wieku, ale jeszcze przed 1822 rokiem. Jest już obiektem zamkniętym z powodu zapalenia, a jego powierzchnia nie przekracza półtora hektara. Niektóre pomniki z symbolem orła potwierdzają proces polonizacyjny Żydów.

Dodatkowe informacje zawierają „Uwagi o kart cmentarzy żydowskich w Łomży”, spisane przez Ada-

tym nawet w „Serii Nowego Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce” tom IX: „Województwo łomżyńskie, Łomża i okolice”. Warszawa 1992. Autorzy podnoszą historyczne i estetyczne walory cmentarzy i upominają się o ewidencyjne łeczki dla nich.

Wprawdzie obiekty te były zniszczone i to bardziej przez czas niż przez ludzi, zawsze jednak istniały w świadomości mieszkańców Łomży, którzy przecież borykali się z wieloma własnymi problemami do czasu, choćby rozbudową miasta, przygotowywaniem miejsc pracy. Tak samo zapomniane, a raczej przesunięte na dalszy plan, były prace cmentarne polskie, m.in. w Łomży, Sławosławach, Ciechanowie. Podkreślenie zarzutów, iż działalność taka była zamierzona tylko wobec cmentarzy żydowskich, jest więc karygodne.

Żydowska społeczność współtworzyła historię Łomży już od drugiej połowy XV wieku, choć jej status często się zmieniał. Za czasów I Rzeczypospolitej Żydzi nie mieli prawa osiedlać w miastach królewskich. W materiałach źródłowych, przygotowanych do opacowania „Łomża 1705—1868” przez dr. Czesława Brodzkiego, stwierdza się, iż rząd pruski pozwolił ludności żydowskiej osiedlać się w Łomży. Kodeks Napoleona, określający Konstytucję Księstwa Warszawskiego, nadawał miastom samorządność, ale pozbawiał Żydów, wraz z najuboższymi warstwami ludności polskiej, prawa głosowania. W 1808 r. Żydzi stanowili w departamencie łomżyńskim 18,7 procent (na wsi tylko 14,5), w 1819 r. — 10,5.

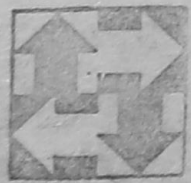
Mieszkający w Łomży należeli do kahału (gminy) śniadowskiego. Archiwum Akt Dawnych w Warszawie podaje, iż w grodzie nad Narwią mieszkało wówczas około 50 rodzin żydowskich. Byli to głównie szynkarze, krawcy, kramarze, piekarze, kupcy, rzeźnicy, wyrobnicy. Władze Księstwa przymierzaly się w 1811 r. do utworzenia w miastach dzielnic żydowskich. Łomżyńscy Żydzi zwracali się do władz centralnych o zaniechanie tego zamiaru.

Zakaz osiedlania się Żydów w Łomży pierwszy przełamał Jakub Żelkiewicz; wykupił on 10 grudnia 1822 r. plac przy ul. Rybaków na gorzelnię. Wkrótce — po wielu zabiegach — nadeszła decyzja generała Zajacka, namiestnika Królestwa Polskiego, zezwalająca Żydom na osiedlenie się w Łomży. Wielu było jej mieszkańcami już nieco wcześniej; w roku 1820 — na 2673 łomżyńskich — 748 było Żydami.

Łomżyńscy Żydzi brali udział w powstaniach narodowych i tylko niektórzy, podobnie jak nieliczni Polacy, opowiadali się po stronie zaborców. Należeli też do wszystkich polskich ugrupowań niepodległościowych, choć w sporze o interesy nie omieszkałi nadmieniać, czyje są ulice, a czyje kamienice.

Każdy jednak musiał być za życia przygotowany na ostatnią drogę i wcześniej kupował sobie woreczek z ziemią palestyńską. A gdy już zmarł, rodzina posypywała mu usta białym proszkiem, by w nowym świecie za dużo nie mówił, i uszy — by za dużo nie słyszał.

— by za dużo nie słyszał.



Wraz z oddaniem do użytku ośrodka zdrowia w Zarębach Kościelnych (październik br.) łomżyńska służba zdrowia zamknęła swój dziesięciolecie. Polegał on na zdiagnozowaniu dysproporcji w dostępie do podstawowej opieki lekarskiej, ja-koż zarysowaniu się między Łomżyn-kiem a resztą kraju w momencie skie-owania województwa. Budowa utworzonych i wiejskich ośrodków sieci gminnych była głównym przed-sięwzięciem tego etapu. Sieć ta składa się z 56 placówek.

Owe dysproporcje w rozwoju lec-nictwa otwartego obrazują najlepiej statystyki z tamtych lat: wskaźnik zatrudnienia lekarzy medycyny na 10 000 mieszkańców wynosił w roku 1975 w Łomżyńskim 8,2 (przedostat-nie miejsce w kraju), przy średniej krajowej 15,9. Z dentystami było jeszcze gorzej — 2,4 (ostatnie miej-sce), przy średniej krajowej 4,4. O-pieki lekarskiej pozbawiona była zwłaszcza ludność wiejska; inwesto-wanie w bazę medyczną na wsi by-ło więc kierunkiem słusznym. Środ-ki na nowe placówki pochodziły w zdecydowanej większości z Narodo-wego Funduszu Ochrony Zdrowia.

Dziesięć lat budowania oraz u-silnych zabiegów, mających na ce-łu pozyskanie lekarzy, przyniosło rezultaty. Wskaźnik zatrudnienia le-karzy medycyny do 10 000 mieszk-kańców wzrósł w 1985 roku do 12,1 (średnia krajowa 19,6), a stomato-logów — do 3,3 (średnia 4,7). Wpra-wdzie w przypadku lekarzy medy-cyny dystans do średniej krajowej pozostał ten sam, lecz Łomżyńskie zdecydowanie przesunęło się w gó-rę w tabeli województw. W minio-nym roku było jeszcze kilka woje-wództw, które osiągnęły zaledwie wskaźnik 10 lekarzy na 10 000 mie-szkańców, a Siedleckie nie pokona-ło nawet tego progu. Wzrost zatrud-nienia w ub.r. stomatologów o 0 był — zdaniem przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia, obecnego nie-dawno na posiedzeniu Zespołu Po-selskiego w Łomży — sukcesem na skalę kraju. Od kilku lat występu-je bowiem ostry deficyt lekarzy tej specjalności, o czym świadczy cho-ciażby minimalny, w porównaniu z 1975 rokiem, wzrost wskaźnika śred-niej krajowej.

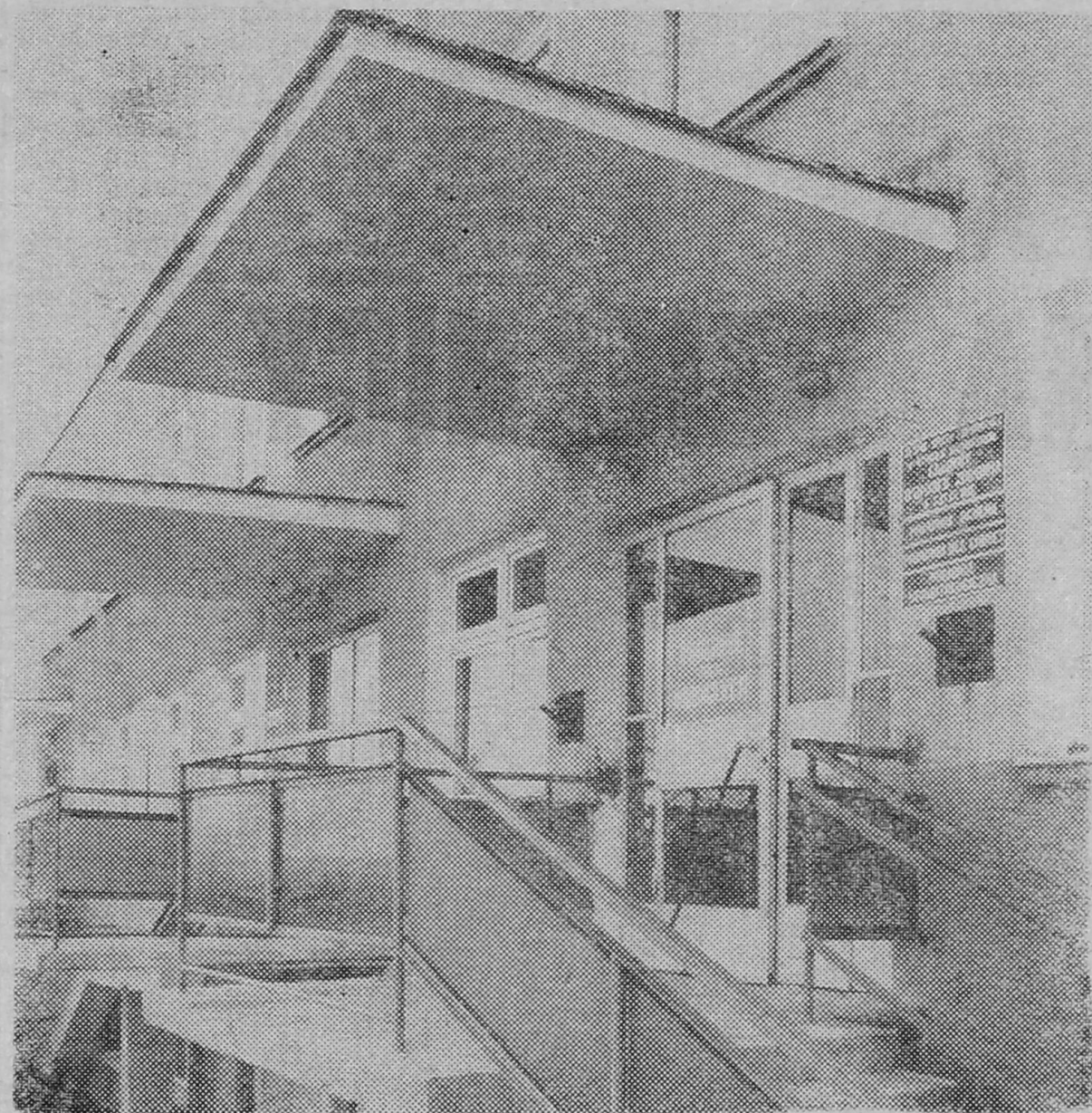
W dziedzinie podstawowej opieki lekarskiej Łomżyńskie wykorzysta-ło więc chyba w większym niż in-ne zaniedbane województwa stopniu możliwości, tkwiące w systemie pre-ferencyjnym Ministerstwa Zdrowia. Jednak w dalszym ciągu pozyskanie lekarza do pracy na wsi wymaga wielu zabiegów. Środki na zagospo-darowanie, korzystne kredyty (z możliwością umorzenia), asygnaty na samochody po dwóch latach pra-cy już nie wystarczają. Nawet sty-pendystów w wiejskim ośrodku zdrowia na kilka lat zatrzymać mo-że tylko dobre mieszkanie, o stan-dardzie nie odbiegającym od miej-skiego. A przecież o mieszkania, niestety, najtrudniej.

Stan lecznictwa specjalistycznego wzbudza znacznie więcej zastrze-żeń. W ostatnich latach nastąpił bu-rzliwy rozwój diagnostyki medycz-nej. We wcześniejszych budowlach szpitalach łóżka zajmowały 75 proc. ich powierzchni, a 25 — zaplecze diagnostyczne. Teraz te proporcje odwróciły się. W sześciu szpitalach (na siedem istniejących w woje-wództwie), wybudowanych w latach sześćdziesiątych i wcześniej, nie ma warunków do zainstalowania nowoczesnych urządzeń, a bez do-brej diagnostyki w leczeniu szpital-nym nie ma co liczyć na efekty a-dekwatne do osiągnięć nowoczesnej medycyny. Również jeśli chodzi o wskaźnik liczby łóżek na 10 000 mie-szkańców — Łomżyńskie zajmuje jedno z ostatnich miejsc w kraju: 42,1 (średnia — 56,3). W okresie 10 lat przybył tylko jeden szpital — w Grajewie (317 łóżek), oddany do użytku w 1984 roku.

Poprawa bazy lecznictwa zam-kniętego przez rozbudowę już ist-niejących obiektów idzie wyjątkowo opornie. W Wysokim Maz. rozpo-

W poprzednim numerze, poświęconym zdrowiu, przedstawiśmy pracę Pogoto-wia Ratunkowego w Łomży, opiekę e-karską nad dziećmi w Kolnie i ofertę mieszkaniową wo ewództwa dla służby zdrowia, a także ogłosiliśmy alarm dla szpitala wojewódzkiego w budowie.

Uzupełnieniem on eczajmych waż-nych problemów wydaje n m się prze-gląd bazy medycznej Łomżyńskiego.



CHORUJ SPOKOJNIE

częła się ona w 1983 roku i do dziś nie może wyjść z pierwszego etapu — budowy kotłowni. W Ciechanow-cu — po wieloletnich dyskusjach — sprawa wróciła do punktu wyjścio-wego: eksperci badają możliwości modernizacji i rozbudowy XVII-wiecznego budynku. Wszystkie na-dzieje na poprawę bazy szpitalnej zarówno administracja służby zdro-wia, jak i mieszkańcy Łomżyńskiego ulokowali w nowym szpitalu wo-jewódzkim, wznoszonym od siedmiu lat w Łomży.

Specjalistyczne lecznictwo o-twarzone zostało wzmocnione dzięki oddaniu do użytku Wo-jewódzkiego Zespołu Przychodni. Specjalistycznych w Łomży. Jednak spada liczba porad udzielanych przez lekarzy specjalistów. Np. w porównaniu do roku 1984 ich ilość zmniejszyła się o 9000 (2,3 proc.). Największy spadek wystąpił w po-radniach: dermatologicznej (o 9,9 proc.), laryngologicznej (o 8 proc.), zdrowia psychicznego (o 8,7 proc.) i chorób zakaźnych (o 17 proc.). Przy-czyną są braki kadrowe. W więk-szości przychodni specjalistycznych nie ma w ogóle na stałe psychiat-rów, laryngologów, okulistów, on-kologów, urologów. Brakuje też w szpitalach specjalistów z dziedziny radiologii i anestezjologii, rehabilitacji leczniczej, a także medycyny pracy. Lekarze o specjalnościach de-ficytowych dojeżdżają raz w tygo-dniu z sąsiednich województw.

Opieka nad ludźmi starymi i nie-pełnosprawnymi ma najwięcej man-kamentów. Właściwie istnieje tylko w postaci służb społecznych przy ZOZ-ach, które prowadzą penetra-cję środowisk. Możliwości tych służb ograniczają się do udzielenia po-mocy materialnej oraz organizowa-nia opieki nad chorymi w domu (tylko w 16 gminach). Niestety, co-raz więcej ludzi, zwłaszcza ze wsi, wymaga umieszczenia w domach pomocy społecznej (starzy) lub w zakładach specjalistycznych (upośle-dzeni umysłowo). Nie licząc zakładu w Łomży dla dziewcząt z upośle-dzeniem umysłowym, w ciągu dzie-sięciu lat powstał tylko jeden dom pomocy społecznej w zaadaptowa-nym budynku w Kozarzach, który Domem Rencisty jest tylko z naz-wy, bowiem połowę z 18 pensjo-nariuszy stanowią niesprawni u-mysłowo, a za pobyt płaci zale-dwie kilku. Administracja służby zdrowia pod presją społeczną pod-jęła kilka prób adaptacji innych obiektów na ten cel, m.in. ośrodka w Czartorii. Niestety, żaden z tych projektów nie został zrealizowany, ponieważ kontrahenci nie wykazali zrozumienia dla sprawy. Na miejsce w domu pomocy społecznej (oczy-wiście, poza województwem) starzy ludzie czekają latami, w krańco-wych przypadkach blokując nawet łóżka w oddziałach wewnętrznych szpitali (stałe ok. 100 łóżek).

Nawet ten — bardzo wyrwy-kowy — przegląd sytuacji po-zwala dostrzec dwa główne problemy: konieczność dalszego po-zyskiwania kadr (zwłaszcza specja-listów) oraz inwestowania w szpi-tale i domy pomocy społecznej. Główną przeszkodę w zwiększaniu liczby lekarzy stanowi — według zgodnej opinii dyrekcji Wydziału Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego — dyrektorów ZOZ-ów — brak mieszk-kań. Różne gremia społeczne postu-lują, by na wsi szybko budować mieszkania dla lekarzy i średniego personelu medycznego, ale pomysł ten nie skonkretyzował się jednak na tyle, by w najbliższej przyszłości mógł zostać zrealizowany. W mias-tach, zgodnie z nową ustawą o ra-dach narodowych, o mieszkania dla służby zdrowia dbają naczelnicy; o-trzymują oni co roku na ten cel pewną kwotę. Wykup lokali w do-tychczasowej praktyce nie zdaje egzaminu. W Łomży np. prezydent otrzymał środki na wykupienie 40 mieszkań w latach 1984—85, ale w rzeczywistości służba zdrowia do-stała tylko 12. Zaległości częściowo zostały nadrobione w bieżącym ro-ku: do dyspozycji dyrektora Woje-wódzkiego Szpitala Zespołowego spółdzielnie mieszkaniowe przeka-zały 9 mieszkań typu M-1, ale prze-cież mało który lekarz, a zwłasz-cza specjalista, podejmie pracę w Łomży i zamieszka w dwóch po-koikach. Specjaliści domagają się co najmniej M-4, a ordynatorzy — domków jednorodzinnych. Admini-stracja służby zdrowia oskarża spółdzielczość mieszkaniową o brak zrozumienia potrzeb społecznych, zaś spółdzielnie zasłaniają się prze-pisami o powierzchniach normatyw-nych. W br. Wojewódzka Rada Na-rodowa przeznaczyła na mieszkania tylko 40 milionów złotych (na całe województwo), co jeszcze bardziej ograniczy ofertę administracji.

„Spis zadań inwestycyjnych na lata 1986—90”, sporządzony przez Wydział Zdrowia Urzędu Woje-wódzkiego, również nie jest lekturą radosną. Z budżetu województwa służba zdrowia otrzymała tylko 900 milionów złotych, z czego połowę pochłoną bieżące zakupy sprzętu i aparatury. Pozostałe środki przeznaczone zostały przede wszystkim na modernizację szpitala w Wysokim Maz. oraz rozbudowę — w Ciecha-nowcu; 2,5 miliarda złotych z Na-rodowego Funduszu Ochrony Zdro-wia posłuży do zakończenia budo-wy Wojewódzkiego Szpitala Zespo-lonego oraz rozpoczęcia pawilonu zakaźnego w Grajewie i przychodni specjalistycznej w Zambrowie. W planie wymienia się jeszcze dwa in-ne, znacznie skromniejsze źródła fi-nansów: Fundusz Przeciwalkoholo-wy (dom pomocy społecznej w Szczuczynie, szpital psychiatryczny oraz izba wytrzeźwień w Łomży) i Fundusz Pomocy Rodzinie (dom po-mocy społecznej w Łomży). Nie starczyło pieniędzy na remont i mo-dernizację starych, budowanych orzed dwudziestu i więcej laty, o-środków zdrowia, mimo że wiele obiektów wymaga takich zabiegów.

Dyrektor Wydziału Zdrowia in-westycje bieżącej 5-latkę widzi w czarnych barwach. Skłaniają go do takiego widzenia doświadczenia z rozbudową szpitala w Wysokim Maz., gdzie z powodu braku po-trzebnego wykonawcy oraz kryzysu materiałowego w budownictwie ko-lejny termin oddania do użytku kotłowni znów nie zostanie dotrzy-many. Również sytuacja na budo-wie szpitala w Łomży potwierdza tę diagnozę. Budowlani nie radzą sobie z harmonogramami prac. Nikt już nie wierzy w to, że szpital zo-stanie oddany do użytku w 1988 roku, a przecież termin ten warun-kuje rozpoczęcie następnych inwe-stycji: domu pomocy społecznej oraz pawilonu psychiatrycznego (ten sam wykonawca).

Stagnacja na dotychczasowym po-ziomie nie jest perspektywą za-chwycającą. Znosi się jednak na to, że będziemy musieli się z nią pogodzić.

MARIA KACZYŃSKA

penetracje



MOWIĄC NIECO ZARTOBLI-
WIE — ale tylko nieco — mi-
licjantem zostaje się w re-
zultacie realizacji dziecięcych ma-
rzeń (groźny, lecz sympatyczny
„pan władza” z „lizakiem” w ręce)
lub młodzieńczych wyobrażeń („Ko-
jak”, „Posterunek przy Hill Street”,
czy choćby rodzime „07 — zgłoś
się”) albo też dorosłych, chłodnych
kalkulacji (opartych na obiegowych
mitach o świetnych zaróbkach, łat-
wości uzyskania mieszkania i in-
nych przywilejach). Dzielnicowym
natomiast milicjant staje się z po-
lecenia szefa. Jedni „wybrańcy”
twierdzą, że jest to rodzaj karnego
zesłania, inni — że wyraz uznania
przełożonego. Faktem jest, iż dziel-
nicowego powinny cechować szcze-
gólne predyspozycje i nie może on
schować się za czułością pleców,
jako że jest sam „panem na dziel-
nicy”. Musi więc być poniekąd alfa
i omega: znać ustawy, kodeksy,
przepisy, nieco kryminalistyki, psy-
chologii, a także prawo budowlane
i spółdzielcze; krótko mówiąc —
znać życie, a ponadto umieć prze-
konująco argumentować, prowoku-
jąco lub wypownie milczeć, selek-
tywnie słuchać, precyzyjnie formu-
lować cudze zeznania i swoje myśli
oraz poprawnie (ortograficznie i sty-
listycznie) ujmować je w protoko-
łach, meldunkach itp.

Ponad 50-tysięczna Łomża i oka-
lające ją 42 wsie podzielone są na
20 dzielnic. Codziennie rano dwu-
dziestu dzielnicowych (odjawszy
akurat urlopowanych, chorych bądź
oddelegowanych do innych zajęć)
zjawia się w Rejonowym Urzędzie
Spraw Wewnętrznych nie wiedząc
jeszcze dokładnie, czym się będą w
najbliższych godzinach zajmować.
Dzień pracy zależy bowiem od te-
go, jakie wydarzenia przyniosła noc.
Jeśli było włamanie, pobicie czy in-
trygujący zgon — wiadomo, że
ono zdominuje dzienny plan pra-
cy, być może nawet przez kilka
następnych dni; jeśli natomiast noc
minęła spokojnie, można do planu
wpisać wcześniejsze zamierzenia i
iść do kierownika, by go zaakcepto-
wał, dorzucając ewentualnie od sie-
bie coś „extra”. I zaczynają się
milicyjnym żargonem mówiąc, „ru-
tynowe czynności”: przyjmowanie
meldunków, oględziny miejsca zda-
rzenia, przesłuchania świadków.
Obowiązkowo musi się znaleźć czas
na myślenie; oczywiście, efektywne,
w wyniku którego można przejść
do kolejnych rutynowych zajęć
przesłuchania podejrzanego i zbie-
rania dowodów jego winy.

GDY SIĘ Z TYM UPORA i za-
nim go dopadną inne, równie
absorbujące zadania, w czasie
przypadkowo nie wypełnionym
służbą patrolową, kolejną akcją,
nagłym zastępstwem czy zadaniem
specjalnym, może spokojnie przejść
się po swoim terenie, posłuchać,
jaką nową waśnią żywi się pewna
nienawiść sąsiedzka, czym się za-
trzuwa jakaś małżeńską miłość, czy
popatrzeć, jak się rozwija społeczny
margines.

Zatargi sąsiedzkie są tym łat-
wiejsze do zlikwidowania, im krócej
trwają. Istotne jest więc to, by do-
strzec je prędko i natychmiast u-
miejętnie łagodzić. W zadawnionych
trudno uchwyć właściwy watek,
tyle się bowiem przez lata nawar-
stwilo wokół niego bolesnych wy-
darzeń. Podobnie z niesnaskami ro-
dzinnymi. Np. konflikt braci G. trwa
chyba tak długo, odkąd istnieje po-
sterunek, a kolejni dzielnicowi prze-
jmują „temat” w spadku. Nikt już
nie rozstrzygnie, czy z dwu panów
M. bardziej winić ojca, czy syna —
za to, że stworzyli sobie piekło pod
wspólnym dachem. Gdy słucha się
jednej strony, miałoby się ochotę
kręcić sznur na przeciwnika. Na-
leży więc poznać, jak rzecz widzą
postronni. Ale ci nie zawsze chcą
mówić, szczególnie w nowych osied-
łach, gdzie ludzie znają się znacz-
nie mniej niż w starych dzielnicach.

Jeszcze trudniejsze i drażliwsze
bywają układy mąż—żona—dzieci.
Perswazje milicjanta czasem trafia-
ją do serca lub rozumu, lecz z re-
guly nie skutkują dłużej niż do
pierwszego wielkiego ochłaju. Mi-
licjant może jeszcze, gdy żona nie
wytrzymuje już bicia i upokorzeń,
skierować sprawę do sądu. Wtedy
jednak najczęściej przekazuje się,

że kobieta woli cierpieć z powodu
codziennej bolesnej obecności niż
długiej nieobecności małżonka i na
rozprawie maluje obraz ukochanego
jako całkiem przyzwoitego człowie-
ka. Pół biedy, jeśli się czasem po-
godzą, jednocząc się we wspólnej
złości na milicjanta, gorzej — co
znacznie częściej — gdy już po ki-
lku dniach cała ulica opisuje szcze-
gół kolejnej awantury. I znów
rozmowy, mediacje, pogroźki...

Sprawy tzw. rodzinne i postępo-
wania alimentacyjne są najczęstsze
i najbardziej absorbujące. Z po-
łowy tego typu wizyt — z różnych
względów — nie pozostaje w no-
tatniku dzielnicowego żaden ślad,
choć czasu pochłaniają mnóstwo.
Patologia na etapie chorego życia
rodzinnego czy rodzącego się alko-
holizmu jeszcze otoczenia nie de-
nerwuje; nie wychodzi przecież po-
za cztery ściany mieszkania czy
klatkę schodową. Niemal nieuchron-
nie niektórzy członkowie tych ro-
dzin staczą się do kategorii „mar-

skie pasożyta, a wszyscy żerują na
uczciwych.

DZIELNICOWY WIE Z GAZET,
że społeczeństwo „tworzy
wspólny front walki ze zde-
moralizowanymi elementami”, a z
życia — że jego szefowie regular-
nie są zapraszani na różne zebra-
nia, by wspólnie z innymi uczci-
wymi „tłuc patologię”. Prokurator
nakłania więc innego prokuratora,
sędzia — dyrektora, a ten prezesa
geesu lub posterunkowego do lik-
widacji patologii. „Margines”, który
gazet nie czyta, nie ma nawet po-
jęcia, jak ostro z nim walczy całe
społeczeństwo. Na własnej skórze
czuje jedynie, że „rejonówka” sta-
tystycznie ujawnia i rejestruje jed-
nego pasożyta dziennie, a potem
usiłuje się nim „opiekować” i jest
w tej „opiece” bardziej natręczywa
i dociekliwa niż wydział zatrud-
nienia. Pasożyt, czyli zdrowy, nie
pracujący mężczyzna, który nie u-
kończył 45 roku życia, odwiedzać
więc musi raz na trzy miesiące „za-
trudniak”, by uzyskać skierowanie
do pracy, a ściślej — pieczęć w
dowodzie, która zapewnia mu trzy
miesiące spokoju. Gdy przegapi ter-
min następnej wizyty, dzielnicowy
może go zaskoczyć urzędowym py-
taniem, dlaczego nie raczy praco-

PAN NA DZIELNICY



ginesu społecznego” i wtedy zaczy-
nają być piętnowani. A przecież
zło zaczyna się zazwyczaj od skłon-
ności do alkoholu oraz uporczywego
uchylania się od pracy. Nie pracu-
jący, czyli pasożyt, egzystuje kosz-
tem bliskich, a gdy ci nie chcą lub
nie mogą łożyć na jego potrzeby
(niemałe zresztą, bo taki osobnik
lubi wypić, i to często), zaczyna żyć
na rachunek społeczeństwa, czyli
trudnić się paserstwem, meliniar-
stwem czy drobnym złodziejstwem.
Pasożyt „po czterdziestce” pozostaje
staromodny — kradnie kury, go-
łębie, rowery; młodszy idą z duchem
czasu i chłonnością rynku: silniki,
wiertarki, akumulatory, sprzęt rtv,
modne ciuchy czy deficytowe części
zamiennie. Strach pomyśleć, jacy
będą ci, którzy teraz w podstawów-
ce bawią się komputerami...

Dawniej starsi złodzieje odpychali
smarkaterię od swego towarzystwa,
dziś docenili jej spryt oraz prak-
tyczną niekaralność. Jeszcze nie tak
dawno młodzi przestępcy rekruto-
wali się spośród 16—17-latków, dziś
schodzą poniżej trzynastu. Pasożyty
organizują im czasem szkolenie,
alkohol oraz środki do wachania.
Oczywiście, odpłatnie — porcja za
2—3 dolary lub równowartość w
złotówkach. Ojciec-pasożyt żyje z
tego, co „zarobi” jego kilkuletnia
pociecha. Parę lat później wyzyski-
wane dziecko organizuje sobie gru-
pę, z której ściągą haracz. Pasożyt

wać, a nawet skierować do kole-
gium wniosek o ukaranie. Oczywiście,
świątek łomżyńskich lumpów
nie drży ze strachu przed ustawo-
wymi prześladowaniami władzy za
unikanie pracy. Nikt z nich nie
słyszał, by kogokolwiek z kumpli
spotkała jakaś kara naprawdę do-
tkliwa. Gdy się przytrafi grzywna,
kolesie solidarnie popracują jedna
noc przy wagonach, a „gapowicz”
— wzbogacony o doświadczenie —
nie da się w przyszłości tak łatwo
podejść. Niezależnie bowiem od
dyskusji kompetentnych osób nad
nieodskonalnością ustawy, pasożyty
też główkują, jak w jej ramach
„okiwać” dzielnicowego. Najbez-
pieczniej przeprowadzić zabieg
wyjścia z formalnej definicji paso-
żyta, np. mieszkając nadal z żoną
na „Południu” — przemeldować się
do rodziny na wsi i oficjalnie pra-
cować w gospodarstwie rolnym.
Jeszcze lepiej zostać rencistą, choć
kosztuje to nieco zabiegów. Do nie-
licznych los się uśmiechnął: taki
Z. np. ma obcięte palce, pracować
nie musi, a z meliny żyje nieźle.
Dzielnicowy go straszy, ten udaje
przestraszonego. Z. wie, że mili-
cjant nie ma na niego „haczyka”,
milicjant — że Z. się go nie boi,
lecz dla obojnego dobrego samo-
poczucia od lat prowadzą tę grę.

Osobny rozdział stanowią kobie-
ty. W każdej dzielnicy mieszka
kilka lub kilkanaście pań wiedzą-

cych lekki i absolutnie pasożytniczy
tryb życia, lecz dzielnicowy — w
zgodzie z paragrafem — traktuje je
łagodnie. O profesjonalnej prosty-
tucji w Łomży mówić nie można
(miasto jeszcze nie stworzyło wa-
runków do zawodostwa w tej dzie-
linie), lecz panienek i rozwódek
zainteresowanych „oskubaniem” pa-
nów na służbowych delegacjach nie
brakuje. Istnieje też kategoria pań
stanowiących atrakcyjny (i kon-
sumpcyjny) dodatek do alkoholo-
wych libacji.

Imprezy alkoholowe odbywają się
w różnych miejscach i środowis-
kach i różnie się na nich traktuje
niespodziewaną wizytę milicjanta.
Wbrew pozorom — najkulturalniej
przyjmuje się dzielnicowego na me-
linie. Chociaż i meliniarz, i jego
goście, i milicjant mają świadomość,
że nielegalna, płatna usługa sprzą-
wia wrazenie prywatnego przyjęcia
i dopóki nie ma dowodu, że jest
inaczej, przedstawiciel organów ści-
gania nie może nikomu zaszkodzić,
to jednak meliniarz woli z dzielni-
cowym nie zadzierać i potulnie
przyjmuje ostrzeżenia, a nawet
sprawdzenie tożsamości klientów. W
zakładach pracy bywa mniej miło,
szczególnie gdy w libacji uczestni-
czy kierownictwo. Wtedy milicjant
może usłyszeć ostrzeżenia i pogro-
źki pod swoim adresem. A gdy jest
to instytucja, w której pracuje np.
jego żona, wizyta jest absolutnie
niezręczna i lepiej szukać zastęp-
stwa. Czasem dzielnicowy ma wą-
pliwości, nie tylko odnośnie roz-
wiązań ustawy o wychowaniu w
trzeźwości, ale ich nie wypowiada,
bo na co dzień ma realizować usta-
wy, a nie zastanawiać się nad ich
słusznością.

ROŻNYM RZECZOM dziwuje
się dzielnicowy, a parę razy
do roku, szczególnie w okresie
akcji „Posesja” — zamilowaniu łom-
żyńskich do brudu. Czasem inda-
gowane brudasy protestują: „Panie
władzo, tyle lat tak tu było, a pan
się teraz czepia!” Inni tłumaczą się
zapracowaniem, brakiem czasu lub
sił. Faktycznie, przy ul. 22 Lipca
czy Buczka mieszka sporo 70—80-
latków, którym trudno sprzątnąć
posesję, lecz czyż nie prościej by-
łoby zapłacić komuś młodszemu
500 złotych za wyłączenie w tej
czynności niż 1000 za mandat?

Uczulonych na zło jest w Łomży
i okolicy więcej niż na brud i na
ich pomoc w większości przypad-
ków dzielnicowy może liczyć. Cza-
sem informacje są niezupełnie rze-
telne, skargi niezbyt zasadne, lecz
nie wynika to z chęci wypuszczenia
funkcjonariusza w maliny, a z in-
ności spojrzenia. Dzielnicy cenią
sobie też bardzo kontakt z komite-
tem osiedlowym, o co łatwiej w
starych dzielnicach, gdzie ich dzia-
łalność jest żywsza, niż w nowych
osiedlach spółdzielczych. W tych
pierwszych chętniej też zgłaszają
się obywatele do dzielnicowego by
pogadać o sprawach społecznych.
Z reguły są to emeryci i renciści,
którzy ostro widzą różne niepra-
widłowości, lecz nie mają siły, by z
nimi walczyć. A może się nudzą i
przychodzą jedynie po to, by uciąć
sobie z kimś pogawędkę?

Dzielnicy jednak powinien ra-
czej w rejestr satysfakcji wpisać
sobie takie dowody obywatelskiego
zaufania. Równoważą one codzien-
ne zmęczenie i gorycze. Te wyni-
kają głównie z niemożności obiek-
tywnych, jak choćby wspomniane
nieodskonalności rozwiązań praw-
nych, oraz pewnych niedostatków
materialnych. Leży np. na ulicy pi-
jaczyna. Ludzie interwenują, by go
zabrać. Mają rację, ale nie wiedzą
często, że najpierw lekarz musi
stwierdzić, czy delikwent rzeczy-
wiście kwalifikuje się do aresztu,
czy na pogotowie, bo izby wytrzeź-
wień wciąż w mieście nie ma.
RUSW cierpi też na brak środków
transportu, a służbowym motocyk-
lem dzielnicowy nie może przewieźć
ani pijaka, ani podejrzanego czy
nawet świadka — choćby tylko ze
względu na bezpieczeństwo pasa-
żera. Milicjanci wola nie myśleć o
dniu, gdy rodzimych przestępców
stać będzie na nowoczesne osią-
gnięcia techniki. Póki co narzekają
na różne problemy, lecz są w sta-
nie jakoś się z nimi uporać. Narze-
kają też na pracę, lecz jej nie rzu-
kają, bo w końcu ma jedną pod-
stawową zaletę: na nudę nie ma tu
miejsc.

DANUTA WRONISZEWSKA





POKÓJ LEŻĄCEMU



Zdjęcia GABORA LORINCZEGO



Kiedy na chodniku leży człowiek — nie wiemy: spił się czy też zasnął. Przezornie omijamy go z daleka, bo w każdym z tych przypadków interwencja łączy się z kłopotami: trzeba wzywać karetkę — ratunkową lub milicyjną — albo (nie daj Boże!) pomóc biedakowi w dotarciu do domu. Tym razem leżącego na ulicy Nowogrodzkiej dostrzegli patrolujący miasto dzielnicowi, a wezwany lekarz Pogotowia stwierdził zwykłe opilstwo. Ubawieni gapowicze rozeszli się do swoich zajęć, a delikwent został odwieziony do aresztu, gdzie zapewne marzył o luksusowej izbie wytrzeźwień. Jednak wszystko mogło poloczyć się całkiem inaczej. Dlatego apelujemy o trochę zainteresowania leżącymi, bo nigdy nie wiadomo, co ich zmoгло.



kontakty

kontaktów

W czasie ostatnio prowadzonej akcji „Posesja” byłem świadkiem wiele mówiącego zdarzenia. W jednej z wsi gminy Śniadowo dwóch milicjantów i dwie panie z grupy porządkowej obsłubiły i groźnie obeszczekiwały psy. Panie uciekły, a milicjanci bohatercko odganiały bestie. Po odpędzeniu psów wróciły na swoje podwórka.

Dlaczego o tym piszę? Dlatego, że wiele lat pracuję na wsi z rolnikami i wiele złego doświadczyłem od swobodnie biegających psów. W wielu wsiach gminy Śniadowo psy nie są uwiązane nawet na podwórkach sołtysów — przedstawicieli władzy, którzy pierwsi powinni przestrzegać przepisów. Ja sam wielokrotnie nie wykonuję swoich obowiązków, gdyż nie mogę wejść na podwórko, po którym biega groźny pies.

Kiedyś widywało się we wsiach funkcjonariuszy MO, którzy pilnowali porządku. Teraz nie widuje się ich w ogóle, choć uważam, że ich obowiązkiem jest nakłanianie mieszkańców wsi do uwiązania psów. Należy też zwrócić uwagę na porządek w wielu wsiach. Moim zdaniem ostatnia akcja „Posesja” była tylko parodią tej akcji.

S. JAWORSKI
Łomża

Mieszkańcy wsi Tarnowo oraz nauczyciele Szkoły Podstawowej w Tarnowie pilnie proszą o to, aby autobusy na trasie Łomża—Tarnowo i z powrotem kursowały o ściśle określonych godzinach. Ostatnio autobusy na tej trasie prawie w ogóle nie kursują. Przykładowo 7, 13 i 14 października nie odbył się kurs o godzinie 13.15, a 9 października o godzinie 6.20.

Zawieszanie kursów autobusowych na tej trasie uniemożliwia dojazd do pracy i z pracy nauczycielom zatrudnionym w szkole oraz mieszkańcom wsi, którzy pracują w Łomży.

Uważamy, że taka sytuacja nie powinna dalej mieć miejsca. Cierpią na tym mieszkańcy wsi, a przede wszystkim dzieci, które tracą lekcje, gdy spóźnia się do pracy nauczyciel.

Dla nas jest to rzecz karygodna, aby były zawieszane kursy autobusów, które z góry zostały optacone, bo przecież sprzedaje się na nie bilety miesięczne. Uważamy, że jest to bezprawne wyludzanie pieniędzy od ludzi. PKS powinien zwracać pieniądze za każdy niedobity kurs autobusu. Poza tym nieregularne i niepunktualne kursowanie autobusów naraża osoby dojeżdżające na utratę zdrowia i dodatkowe koszty.

Biorąc powyższe pod uwagę uprzejmie prosimy o poważne potraktowanie naszej interwencji i spowodowanie, aby autobusy na tej trasie kursowały systematycznie i punktualnie.

Nauczyciele i mieszkańcy
wsi Tarnowo
(14 podpisów)

★

Moja skarga dotyczy sklepu nr 8 w Zambrowie. 26 września br. między godziną 18.00 a 19.00 w tym sklepie była dostawa wędliny z Białegostoku. Po przyjęciu towaru za ladę wyszła zastępująca kierowniczkę sprzedawczyni i oświadczyła, że dzisiaj nie będzie sprzedawała wędliny, bo sklep jest czynny do godz. 20.00, a ona nie będzie pracowała do godz. 23.00. Zmęczeni i rozczarowani kolejkowicze opuścili sklep. I wtedy dopiero rozpoczęła się sprzedaż, ale tylko znajomym sklepowej. Rano następnego dnia na ladzie leżały wolowe ochłapy i około 2 kg zmyczajnej.

Czytelniczka z Zambrowa
(nazwisko do wiadomości redakcji)

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

stary mazuński kancjonał, który ofiarował jej kiedyś sam Kajka.

Zresztą z tym kancjonałem miał później tylko kłopoty. Dowiedział się o jego dziwnych pasjach zbierackich kurator z województwa i na oczach wszystkich nauczycieli zbesztal: „Nauczyciel szkoły demokratycznej zbiera modlitewniki... Ależ to skandal!” Wtedy przecież te nabożne mazurskie księgi dosłownie wały się po ulicach. Pisane były gotykiem, a ten uchodził w oczach ludzi przybyłych na Mazury spod Grajewa czy Suwałk za pismo niemieckie. To nie, że zawierały wiersze Reja, Kochanowskiego, Karpińskiego. Kto o tym myślał? Przecież takim samym gotykiem Niemcy pisali wyroki śmierci.

Gdy wracaliśmy z pogrzebu, Ratajowa opowiedziała mi, jak to kiedyś, po wojnie, z Kaweckim wstawili się za Mazurem, który kłęczał przed bramą swego domu, zajętego przez osadnika. Zgodnie z ludowym mazurskim obyczajem — żegnał się ze swą ziemią. Nagle z domu wybiegł chłop i zaczął Mazurę okładać batem. „Proszę zostawić go w spokoju — krzyknęła Ratajowa. — On tylko pragnie pożegnać rodziną ziemię.” „To czarownik. Słyszałem wyraźnie, jak mamrotał jakieś zaklęcia i rzucał uroki na mnie i moją rodzinę.” Nie nie pomógł krzyk Ratajowej i perswazja Kaweckiego.

„Bardzo boleśnie przeżyłam ten wypadek — zwierzała się Ratajowa. — Takich scen można było zobaczyć więcej. Bo tych ludzi, proszę pana, mogli zrozumieć tylko ci, którzy żyli wśród nich.” Zaprosiła mnie do mieszkania przy Magazynewej 2/8 w Elku, niedaleko dworca kolejowego.

Po latach odnalazłem w domowym archiwum notatkę z tej i innej rozmowy. „Moi rodzice — czytam w nich — urodzili się w Poznańskim. Mieli tu prawie pięćsetmorgowy majątek: w Popowie. Nazywali się Michał i Walentyna Czarneccy. Wszędzie szalała pruska hakata. W 1905 roku rodzice musieli sprzedać Popowo. Początkowo chcieli nabyć inny majątek, też w Wielkopolsce. Niemcy jednak wzbranieli. Mój ojciec uchodził w ich oczach za fanatyka polskiego.

Pewien agent poradził mu Bobry blisko Elku i granicznej stacji Prostki (Prostken) Kupił. Wkrótce przenieśli się na Mazury. Ojciec zaraz wezwał eteki landrata. Spytał: „Kim pan jest, Herr Czarnecki?” „Polakiem.” „A może poddanym cesarza?” „Nawet wiernym poddanym, ale Polakiem.”

Po tej rozmowie ojciec nie dostał żadnych ulg przy zagospodarowaniu. Ani kredytów w banku. Przed I wojną światową w Bobrach rozmawiano tylko po mazursku. Również mowę polską słychać było w Elku, szczególnie w dni targowe. Rodzice i służba rozmawiali tylko po polsku. Gdy przyjeżdżaliśmy z Elku lub Grajewa, to na granicy Bobrów zawsze się mówiło: „Jesteśmy w naszej Polsce”. Tylko jak przyszli czasem goście (Niemcy), to w domu mówiono po niemiecku.

Było nas czworo rodzeństwa. Dwie siostry: Zofia (Szukalska), Eleonora (Zawada) i brat Jan (zginął w Łosenburgu). Nasze bony też mówiły tylko po polsku. Później rodzice musieli postać nas do klasztoru w Ornecie. Tam rozmawiano tylko po niemiecku. Rodzice chcieli, abyśmy się nauczyli niemieckiego, bo w domu uczone nas tylko polskiego. Od małości. Przed pójściem do szkoły nie znaliśmy w ogóle niemieckiego, a przecież nasz majątek był w Niemczech.

Przyszła I wojna światowa. Niemcy aresztowali ojca, a później i matkę. Zarzucili im, że mieli uprawiać szpiegostwo na rzecz Rosji. Czy były jakieś dowody? Ktoś zeznał, że w lesie naprzeciwko naszego majątku ukrywa się szpieg i rodzice z nim się kontaktują. Być może, iż wydał ich tajniak Duda. Zniemczony Mazur. Tacy najgorszy. Miał ich stale obserwować. Ale później ktoś zaświadaczył, że z tym szpiegiem rosyjskim to badura. Rodziców wypuścili. Bardzośmy się z tego cieszyli z siostrami.

Pobyt w klasztorze był straszny. Najgorsze te Niemki. One nie mogły znieść naszego polskiego. W Bobrach czytaliśmy się znowu w Pol-

sce. Orneta — mówiliśmy — to Niemcy. W sensie mowy.

Jak Polska się odrodziła, ojciec chciał zamienić swój majątek na Wielkopolskę. Pojechał z nim do Poznania. Zamieszkaliśmy w hotelu „Bazar”. W pewnej chwili zagrała orkiestra. Wyjrzałem przez okno. Na ulicy ludzie śpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła”. Plakaliśmy oboje, kiedy zobaczyliśmy maszerujące wojsko polskie. Były majątki na sprzedaż. Znajomi wrócili w Poznańskie i na Pomorze. Ale tak to zdecydował, że pozostał jednak w Bobrach. „To również Polska — powiedział. — A jak Polska, to muszą być w niej i Polacy. Czyli my”. Ja się z tego bardzo cieszyłam. Lubiałam nasze Bobry. Było tu jakoś cudownie i swojsko.

Ojciec mocno się zaangażował w plebiscyt na Mazurach. W naszym domu często bywali działacze. Pamiętam, że Michał Kajka recytował nam swoje wiersze, ale bardzo z mazurską, a nie tak drukują teraz w książkach:

„Polska mowa nie ustaje,
Choć hakata na nią laje,
A choć się w złości pieni,
Mazur mowy swej nie zmienia”.

Byli u nas także Włosi. Często gościł ptk Pio. Uprzejmy, ale chyba stał za Niemcami. Plebiscyt przegraliśmy. Dlaczego? Kiedyś rozmawiałam o tym z gen. Władysławem Sikorskim w Augustowie. „To historyczna polska pomyłka” — powiedział. Myśmy przed wojną stale do kościoła chodzili do Grajewa. Gościliśmy również u polskich ułanów. Nawet zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia. Gorzej już było za Hitlera. Na ulicy w Elku nie wolno było mówić po polsku.

W 1937 roku ojciec i matka już nie żyli. Byłam zameżna. Wyjechałam z Gustawą Ratają, Mazurą z Rogan k.Olecka. Chciałam tym ożenkiem opieczkować swoje spadkobierstwo. Miałam z nim córkę Eleonorę i syna Michała Alfonsa.

Wtedy właśnie w Bobrach i na całym Mazurach wszyscy dostali do wypełnienia lotną ankietę. Mieli w niej się określić, kim są: Niemcami, Mazurami czy Polakami. Mąż powiedział, że jest Mazurem, a ja — Polką. Czy Gustaw mnie namawiał, abym zmieniła zapis? Owszem, rozmawialiśmy na ten temat, ale on wiedział, że to ja dziedziczy Bobry. I zawsze moje zdanie było święte. On słuchał. Ale tu pozostał mi mu swobodę. Był przecież rodowitym Mazurem i w ankiecie napisał prawdę.

Moja anketa poszła najpierw do wójta Kudryckiego, Mazura. Gdy ją zobaczył, to struchlał ze strachu. „Proszę tego nie robić — perswadował. — To bardzo niebezpieczne. Jeśli pani zmieni wpis, podrzemy ankietę i wypełnimy nową. Nikt się o tym nie dowie”. Powiedziałam mu, że nie zmienię już ani słowa. Niech ankietę wrzuci do landrata. Jestem przygotowana na wszystko, nawet na najgorsze. Tu muszę podać, że mój szwagier Filip Zawada, mąż Eluni i ojciec sławnego alpinisty Marka Zawady, był konsulem polskim w Elku, a potem w Olsztynie. To on nam załatwiał wyjazdy do Grajewa, Augustowa, Suwałk, Warszawy. Prusacy bardzo go nie lubili.

Za kilka dni wezwał mnie landrat Knyspel. Landratsamt mieścił się w tym miejscu, gdzie i dzisiaj prezydium. „Guten Tag!” „Guten Tag!” „Pani jest Polką? Ja niady nawet o tym nie pomyślałam.” „Naprawdę? Przecież moja babcia i mamusia były Polkami. Proszę tylko zajrzeć do akt metrykalnych w pańskim urzędzie”. Knyspel chwilowo zaniemówił. Moje słowa zbiły go z tropu. Dlatego może z początku starał się łagodnie perswadować, podobnie jak w Bobrach wójt Kudrycki: „Jeszcze czas, aby wykreślić ten fatalny wpis. Ankietę zniszczymy. Zaręczam całkowitą dyskrecję”. „Ale dlaczego? Co ja złego zrobiłam?”

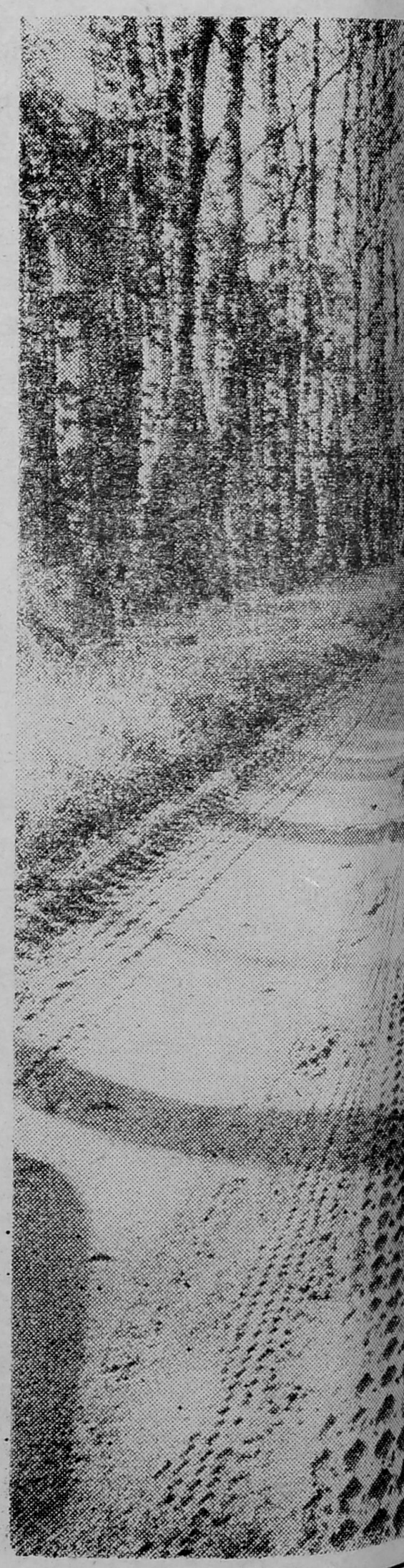
Przyznam się, że trochę się bałam. Landrat zaczął grozić: „Czy pani wie, że ta ankietka pójdzie do samego Kocha? Nadprezydent może wyrzucić panią z Prus i odesłać do Polski”. Ale ja uparcie trzymałam przy swoim. Zapytałam landrata: „Pan jest Niemcem?” „Cóż za pytanie!” „Czy wobec tego zgodziłby się pan wyrzec swej niemieckości i zostać Polakiem?” „Wypraszam sobie prowokacyjne pytania!” — wrzasnął. „To dlaczego namawia

mnie pan, abym zmieniła swoją narodowość?”

Wkrótce ankietę wystano do Królewca. Już po tygodniu Erich Koch polecił mi w siedem dni opuścić Bobry i Prusy Wschodnie. Naza jutrz przyszli gestapowcy z Prostek. Robili w całym domu rewizję. Zobaczyli wiszącą na ścianie, oprawioną w ramkę, fotografię z naszego pobytu w pułku ułanów w Augustowie. Była na niej cała generacja, z Sikorskim w środku. Jak zobaczyli te polskie mundury, wrzasnęli: „Polscy oficerowie i generałowie! Tu, w Bobrach i Prusach Wschodnich? To niestychane!” Zdarli je z ściany i rzucili na podłogę. Podeptali buciorami. Zabrali z sobą do Prostek. W czasie rewizji zobaczyli także na ścianach obrazy z podobiznami Kościuszki i Mickiewicza. Naczelnik przysięgał na krakowskim rynku. Wrzucili to na samochód i gdzieś wywieźli. Potem wrócili, zabrali mnie z dziećmi i odwieźli do Polski. Na stacji w Grajewie witano mnie z orkiestrą wojskową. Grali nam hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”. Tu wszyscy dobrze nas znali.

Pojechałam do siostry w Rabce. U niej znaleźliśmy przytułek. Wszyscy starali się okazać nam serce. Kiedy Polska upadła w trzydziestym dziewiątym, postanowiłam wrócić z dziećmi do Bobrów. Dlaczego? Myślałam, że skoro nie ma już wolnej Polski, to i ja nie będę taka groźna dla wielkich i zwycięskich Niemiec. A zresztą w Bobrach był mój rodzinny dom. Dowiedziałam się, że Gustawa zmobilizowali i wzięli do Wehrmachtu. Trzeba było ratować opuszczony majątek. Czy dziś tego żałuję? Oni dopadli by mnie także w Rabce.

Szybko pojawili się gestapowcy. Przyjechali samochodem i zabrali mnie z sobą. Michał był z nianią. Podał mi pleś, bo robiło się już chłodno. Elunia płakała i wołała: „Zabierz nas, mamo,



„sobą!” Mówiła po polsku, bo niemieckiego prawie nie znała. Wzięłam dzieci do siebie, pomodliłam się z nimi na drogę. Włożyłam na siebie futro, bo nie wiedziałam, gdzie mnie powiozą i co mnie czeka. Myślałam, że mi serce pęknie. Gustaw nie było. Kazali mi z rana stać się w Elku. Nie wiem, czy zro-
bili to celowo, ale chyba tak.

Najpierw zamknęli mnie w piwnicy w Prostkach. Jeszcze tego samego dnia wzięli na przesłuchanie. „Jesteś ciagle Polką?” — spytał gestapowiec z pejem. „Tak” — odpowiedziałam. Chciał mnie ude-
rzyć. Uskoczyłam w bok. Ale on tylko zamierzył się dla postrachu. Znowu wrzucił mnie do tej piwnicy. Spalam na kartoflach. Bez jedzenia. Pić dawali; rzadko, ale dawali. Jakas nieznajoma kobieta siedziała ze mną. „Co pani im zro-
biła?” „Nic.” „To za co pani wzięli?” „Za nic.” „Może pani chce coś zjeść?” „Chcę. Ale ich nie po-
proszę.” Nieznajoma poczęstowała mnie chlebem i jabłkiem. Głodną przesłuchiwali mnie co dwie godziny. Chcieli, abym zmieniła zdanie w sprawie przynależności narodo-
wej. Gdy w Prostkach nie ze mną nie uskorołi, odesłali do Elku. Tu znalazłam się już w prawdziwym więzieniu. Trzymali mnie cztery miesiące. Ciagle brali na gestapo i namawiali, abym się zdeklarowała, że jestem Niemką lub Mazurką. Wyraźnie dawali do zrozumienia, że tylko w ten sposób mogę uniknąć obozu koncentracyjnego. Ale ja stale odmawiałam. „Zapalczywa Polka!” — wrzeszczeli. „Nie pod-
pisz — mówiłam bez przerwy. — Coś ja poradzę na to, że jestem Polką.”

Pewnego razu wezwali mnie na elokie gestapo i oświadczyli, że do końca wojny będę osadzona w obo-
zie koncentracyjnym w Ravens-
brück. „Co to jest?” — spytałam. „Tam się dowiesz!” Z gestapo po-
wieźli nas na dworzec kolejowy. Razem ze mną były dwie kobiety i

czterech mężczyzn. Gdy prowadzili nas przez miasto, Niemcy spoglądali z wyraźnym zadowoleniem. Mazurzy zaś — z współczuciem. Rogala, właściciel sklepu, w którym zawsze robiłam zakupy, tylko z litości po-
kiwał głową. Przecież wszyscy w Elku mnie znali. Wsadzili nas do wagonu i odesłali do Królewca.

Tam na polieji trzymali mnie z pewną kobietą. To była Niemka. Jej rodzice mieli także majątek blisko Korszy. Pracowali u nich Po-
lacy. W jednym się zakochała. Po-
wiesili go. „Nie pojedę do Ravens-
brück.” „To co zrobisz?” „Powieszę się, ale do obozu nie pójdę.” Ode-
brała sobie życie w mojej celi. Później wzięli mnie w Szczecinie i Berlinie. Na Aleksanderplatz było najstraszniej. Balam się nawet za-
śnąć. A potem Ravensbrück. Cztery lata chodziłam w jednym pasiaku. Chociaż byłam w niemieckim bloku, przyjaźniłam się tylko z Polkami. Po wojnie miałam wrócić do Gene-
ralnej Guberni, a nie do Niemiec. Tak pisano w uzasadnieniu mojego wyroku. Byłam bardzo niebezpiecz-
na dla Rzeszy Niemieckiej.

Do Ravensbrück przyszło spec-
jalne pismo z Berlina. Wez-
wali mnie do obozowego ges-
tapo. Zadał, abym podpisała poda-
nie o rozwód z Gustawem. I znowu im odmówiłam: „Mam z nim ślub kościelny.” „I co z tego?” „Kościoł katolicki nie uznaje rozwodów.” Na-
legali, ale w końcu dali mi spokój. W czterdziestym piątym, w fa-
bryce zbrojeniowej, gdzie wywieźli mnie do pracy, wyzwolili nas Ame-
rykanie. Udałam się najpierw do Rabki. Ciężko po obozie chorowa-
łam. Do Bobrów pojechałam rosyj-
skim samochodem. Pamiętam jak dziś przeprawę przez Wisłę. W Bo-
brach się dowiedziałam, że mąż jest w radzieckiej niewoli, gdzieś koło Torunia. Pojechałam i przed-
stawiłam dokumenty z obozu. Uda-
ło mi się go dość szybko wyzwolić. Powrócił ze mną do domu.

Majątek nam rozparcelowali, ale za moje zastugi dla Polski zostawi-
li dworek, zabudowania, kilkanaście hektarów ziemi. Zweryfikowałam męża i wyrobiłam mu polskie do-
kumenty. Ale dla osadników ze wsi nadal byliśmy Szwabami. To strasznie bolało. Dom miał tylko szczyb, tak był zrujnowany i wy-
szabrowany.

Dzieci wywieziono w głąb Nie-
miec na wychowanie, czyli zniem-
czenie. Zaczęliśmy ich szukać przez PCK. W końcu znalazły się w So-
lingen. Michaś powrócił do Bobrów. Ela zaś odmówiła. Była zaręczona z Niemcem, wkrótce za niego wy-
szła. Prawdę mówiąc, miała do mnie żal. O co? Stale mi zarzucała, że tyle udręki przeszedł z powodu moich fanaberii. Dato znać niemieckie wychowanie w Solingen.

Do siedemdziesiątego drugiego gospodarowaliśmy na resztówce w Bobrach. Michaś ożenił się z miej-
scową dziewczyną. Najpierw poje-
chał w odwiedziny do córki Gu-
stawa. Początkowo tylko przedlu-
żył sobie u niej pobyt, ale potem został na stałe. Następnie ściągnął do Wierthne syna i synową z dzie-
ćmi. Ale to było straszne spotka-
nie! Michaś dobrze nie znał już niemieckiego, a Ela mówiła tylko po niemiecku. Dlatego początkowo Gustaw służył im za tłumacza. Na-
mawiali, abym i ja się do nich przeniosta. Niemcy z RFN-u obie-
cują ogromne odszkodowanie za Bobry; prawnie spadek figuruje do dziś na mnie i tylko ja mogę od Niemców dostać odszkodowanie, a-
le pod warunkiem, że się do nich przeniosę i zostanę tam na stałe.

Co mam robić? Jak pan uważa? Siostry ostrzegają, że mnie się wy-
rzekną, jeśli rzucę Polskę. „Tyle przecież od nich wycierpiałas i te-
raz miałabyś im zapomnieć? Marki to jeszcze nie wszystko.” Dworek ze stodołami, oborami i ziemią preka-
załam Skarbowi Państwa. Dostaje rentę dla zasłużonych. Teraz mam także dodatek za krzyż, który trze-
ciego maja wręczał mi pan Gierek w Warszawie. Czy mam żle? Dwa i pół tysiąca złotych to ładny pie-
niądz, nieprawdaż? Zostanę w mo-
jej Polsce. Nigdzie nie pojedę. Ze-
by tylko nie niszczyli tego naszego domu w Bobrach... Byłam tam wczoraj. Boże, co za widok! Wybite okna, zburzone piece, wytłamana glazura, słowem: jedna wielka ruina. A przecież mogliby w naszym do-
mu złożyć jakieś przedszkole lub

ośrodek kolonijny dla dzieci pege-
rowskich.”

Tu się urywa zapis w — po-
żółkłym już — notatniku. Pa-
miętałam, że po tej rozmowie jeździłam później z Ratajową do Bobrów. Jej dom znajdował się w kompletnej ruinie. Na widok tej potwornej dewastacji Ratajowa mia-
ła lzy w oczach. Napisałam o tym krytyczną notatkę do „Gaze-
ty”. Wkrótce otrzymałam urzędową odpowiedź z powiatu. Pisano w niej, że to właśnie Ratajowa zniszczyła zabudowania przed przekazaniem ich na Skarb Państwa. Kiedy jej pokazałam to pismo, zapłakała.

Spytałam Dominika Akackiego, opiekuna z pobliskich Zdunek, czy to możliwe. Znal przecieź dobrze Ratajową, miał częstą styczność z ludźmi z Bobrów i okolicy.

— Kto, pani Władysława? Nigdy. To wierutne kłamstwo.

— Kto więc?

— Ja wiem, kto zniszczył, a przy-
najmniej się domyślam. Tego nie mogła się dopuścić pani Władysła-
wa. Ręczę panu.

Wkrótce zmarł jej mąż. Pojechała na jego pogrzeb. Wybrać mogła wolność i połączyć się na stare lata z córką i synem. Niemcy znowu kusili ogromnymi odszkodowaniami za utracone Bobry. Dawali około o-
siemdziesięciu tysięcy zachodnich marek. Ale warunek ciągle ten sam: pozostanie na stałe w RFN-ie. Jeszcze raz odmówiła. Powróciła do swego małego, skromnego mieszkanka przy Magazynowej 2/8 w Elku.

— A przecieź — opowiada jej znajoma — jeszcze kilkanaście dni temu poważnie rozważano, czy ze-
zwolić jej na ten wyjazd do RFN-u.

— Dlaczego? — pytam zdumiony.

— A jak zostanie na stałe u dzieci w Wierthne? Cóż to może być za wstyd dla Polski.

— Kto? Ona, Ratajowa? Zapal-
czywa Polka?

— Ja wiedziałam, że to niemożli-
we. Znałam ją bardzo dobrze.

Po kilku latach przyszło jej po-
łączyć się z Gustawem, ale już na tamtym świecie. Pogrzeb miała skromny: bez przemówień i fanfar. Z najbliższych przybył m.in. jej ukochany syn Michaś. Teraz już pisze się Michael Rattay. Na świe-
żej jeszcze mogile ktoś z bliskich przybyłych z RFN-u złożył wieniec z szarfami w czarno-czerwono-
złoty barwach.

— Gdy to zobaczyłam — wspomi-
na serdeczna przyjaciółka Ratajo-
wej, Teresa Kosakowska z Elku — na chwilę zaniemówiłam. Później długo nie mogłam przyjść do siebie. Resztki tej szarfy zabrałam z mo-
gily.

— Dlaczego?

— Aby policzki nie piekły ze wstydu i nie świadczyły o tym, jak gorzka może być miłość do swej ojczyzny.

— Nawet po śmierci?

— Nawet po śmierci

Michael Rattay nie podjął po-
matce oszczędności z PKO. Zapro-
ponował, aby za nie władze miej-
skie postawiły jej pomnik. Ale to nie było takie proste. Pieniądze z PKO mogli tylko, zgodnie z przepi-
sami, podjąć syn lub córka, a oni byli w RFN-ie i nie kwapili się do tego. Teresa Kosakowska napi-
sała list do suwalskich „Krajobraz-
ów”

— Namówił mnie do tego redak-
tor Kurza.

— Były jakieś echa?

— Czy pan uwierzy: nikt się moim listem w Elku nie zaintereso-
wał!

— Urząd Miejski? Związek Bojo-
wników o Wolność i Demokrację? Towarzystwo Miłośników Elku?

— Nikt. Smutne to, prawda? Takie requiem po mazursku.

— I po polsku, pani Tereso...

— Może i tak.

Z czasem na mogile Władysławy Ratajowej ktoś postawił skromny nagrobek. Z rodziny? Znajomych? Przyjaciół? Wypisano na niej jej imię, nazwisko, daty urodzenia i zgonu. Nic więcej. Nawet tych dwóch słów, które zawsze widniały w jej aktach w gestapo w Elku, Królewcu, Berlinie, Ravensbrück: „zapalczywa Polka”.

Czasem tylko ktoś bezimienny po-
łoży na jej grobie wiązanek bialo-
-czerwonych goździków. Po czar-
no-czerwono-złoty szarfach nie pozostało śladu. Surowy mazurski klimat robi swoje.

spiećcia



9

KONTAKTY
1986-11-02

„Sprawa została skierowana do Sądu Rejonowego w Łomży. Sąd oddalił roszczenia sąsiadów i naka-
zał, aby między dzielącą nasze pole pozostała w stanie nienaruszalnym, tak jak została ustalona w roku 1947. Sąsiad złożył odwołanie do Sądu Wojewódzkiego w Łomży. Wy-
rok zapada na naszą korzyść. Zno-
wu sąsiad odwołuje się. Sprawa trafia do ponownego rozpatrzenia w Sądzie Rejonowym. Następują wizje lokalne, biegły sądowy mier-
niczy wydaje decyzję o pozosta-
wieniu między w miejscu, gdzie zo-
stała wytyczona w akcie nadania w 1947 r. Sąsiad ponownie odwołuje się do Sądu Wojewódzkiego, któ-
ry tym razem zmienia wyrok. Sąd Rejonowy i w kwietniu br. zapada decyzja o przesunięciu mie-
dzy o 2,5 metra na jego korzyść. Tym razem my składamy odwołanie. Jak to możliwe — dziwi się rolnik z gminy Kolno — żeby sądy były tak chwiejne w ferowaniu wy-
roków, podważały swoje własne o-
pinie?” Wierzymy, że wszystko wy-
jaśni się w dzień Sądu Ostatecz-
nego.

>☆<

Budowy szpitala wojewódzkiego w Łomży strzeże dozorca codzien-
nie dowożony z Pisz, ponieważ z miejscowych ani jeden nie okazał się uczciwy. Dziś do Sodomy Bóg musiałby przywieźć Lota w „teczce”.

>☆<

Białostocka Centrala Materiałów Budowlanych postanowiła otworzyć w Łomży własny sklep. Kierownik placówki rozpoczął działalność od codziennego informowania kolejko-
wiczów, iż uruchomi ją jutro. I tak przez tydzień. Ani chybi spec-
jalnością sklepu będzie kit

>☆<

„W razie stwierdzenia, że zawar-
tości paczki lub jej części grozi zepsucie, placówka pocztowa doko-
nuje na rachunek nadawcy sprze-
daży nielicytacyjnej zawartości za-
grożonej zepsuciem” — informuje rozporządzenie z dnia 31 lipca 1986 roku w sprawie ordynacji pocztowej. Innymi słowy: jeśli będziemy chcieli, otworzymy sobie sklep z hurtownią w magazynie paczek. Podpisane: ordynat Władysław mi-
nister Majewski.

>☆<

Nie piszemy już o marnym pie-
czywie, dziurach w jezdni, skupie-
butelek i makulatury, gdyż te o-
gromne polskie problemy nr 1 za-
jęłyby nam w każdym tygodniu ca-
łą rubrykę. Dziś po raz ostatni za-
jmujemy się chamskim kierownictwem PKS-u, gdyż i ta kwestia urosła do rangi problemów rozwiązywalnych jedynie na forum ONZ. Oto kiero-
wca autobusu relacji Łomża-Miast-
kowo, odjeżdżający 16 października a godz. 6.30, powitał pasażera: „Nie chce się nam kupować biletów w kasie, to będziecie płacić drożej, a jak się nie podoba, to może pan wypier...”, a próbę tłumaczenia po-
stanowił zakończyć ciosem Inter-
wenującą pasażerkę, która popro-
siła stojącego na przystanku mili-
cjanta (męża, który ją odprowadził), nazwał pijacką i kochanką mili-
cji. „Bieżąca podwyżka cen biletów ma na celu podniesienie jakości us-
ług w komunikacji pasażerskiej” — czytaliśmy niedawno. Na szczęście, bieżąca podwyżka nie jest ostatnia.

>☆<

Przypominamy! Co tydzień na au-
tora najlepszej informacji „To się nadaje do „Spieć” czeka nagroda w wysokości 500 złotych. Jedyny warunek: informacja musi być pra-
wdziwa i z życia, a nie wymyślona (nazwisk nie ujawniamy). Adres: „Kontakty”, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 lub 42-44.



LISTY ZZA RZEKI

Zatrącenie możliwości rezonowania impulsów przyrody uważam za największe nieszczęście człowieka współczesnego. Nie tylko osiadłego w wielkim mieście, do którego pory roku docierają zniekształcone, a lokalne wynaturzenia klimatu bywają silniejsze od zjawisk atmosferycznych, ale właściwie każdego żyjącego w zasięgu oddziaływania wielkich skupisk mieszkalno-przemysłowych. Zresztą, czyż dzisiaj nie należałoby już mówić o wszystkich ludziach na naszej planecie? Przecież w rozwijającej się „aleldwie od dwustu lat mutacji człowieka przemysłowego (czyli w okresie, który w miarach czasu planetarnego trudno nazwać nawet mgieniem) dokonane zostały takie naruszenia stanu równowagi, że właściwie nie wiem już, czy upalny, wypalający ziemię maj to przejaw pogody nie zakłócającej ziemskiej (wschodnioeuropejskiej) homeostazy, czy też rezultat spustoszenia syberyjskiej tajgi lub niszczenia puszczy amazońskiej. Albo: czy zjadane, wdychane przeze mnie syntetyczne środki wzmagania płodów, ochrony upraw, zabezpieczenia ich przetworów, nie okazały się za dwa, trzy pokolenia przyczyną powstania niewyobrażalnych mutantów gatunkowych. A że nie jest to dreszczykolubne fantazjowanie, przypomnę, że osławiony thalidomid, środek uspokajający, który z upodobaniem lykały niemieckie przyszłe mamy, dał potomstwo z zaniżonym kończynami tylko dlatego, że — upraszczając problem — jeden ze składników specyfiku zawierał kryształ „mańkuty”, chemicznie identyczny z „praworękami”, ale na geny ludzkie oddziałujące w sposób

objawiony tak tragicznie. Dzisiaj thalidomid, już ten jednolity, stosowany jest znowu.

Człowiek coraz częściej przekracza granice równowagi ze swoim naturalnym otoczeniem. To nieunikniony skutek poznania. Świata, ale również i tego, że lina, na której balansuje człowiek jako gatunek, jest bardzo cienka.

Wydaje się, że niewiele szersza i mocniejsza jest linia życia, ścieżka, wzdłuż której rozkwita ten fenomenalny stan materii. Na razie wszystko zdaje się świadczyć o tym, że jest to stan noszący znamiona histerezy lub — jak kto wo-

stanów chemicznych, energetycznych, i to zarówno w układzie galaktycznym, jak i planetarnym, to rzeczywiście z ulgą zaczyna się nucić piosenkę pani Edyty.

Cóż, kiedy myśl wraca do szukania prawdy. A ta może być tylko jedna. Czy w całym naszym poznaniu, wiedzy, jaką zgromadził nasz gatunek (a jest nią także to, co wiedziały wymarłe, wyniszczone bez śladów cywilizacje, i to pozostaje echo, odsłuchiwanie przez nas pozaracjonalnie lub jako naturalne doświadczenie, jest jedyną ich pozostałością) udało nam się już zbudować pierwszą przesłankę owej prawdy? Czy są nią słowa Hoima-

ziom ontologiczny nie może być ostatnim, najwyższym ze wszystkich („Nie tylko z tego świata jesteśmy”, „Pax” 1985). A więc coś jakby opada, ale zawsze. Bardziej „przemienną” pociechę znajduję w pracy Sedlaka: „Czy życie umiera? Struktura organizmów ulega niszczeniu, ale wiązka wyemitowanej fali przenosi się w próżni bez kresu. A jeżeli ulega relatywistycznemu zakrzywieniu obiegając wewnętrzną czaszą wszechświata?... A świadomość?”

Coraz częściej spotykamy pytania o życie. Nie tylko wzbudzone obłąkańczym wyścigiem zbrojeń, poczuć zagrożenie, o których wspominałem na początku, ale także biorące się ze wzbogacenia naszego poznania, które dokonuje się nie drogą uładowanego rozwoju, ale w paroksyzmach pychy i zwątpienia, nadziei i przekleństwa. A także i dlatego, że coraz więcej badaczy z różnych dziedzin wykrywa w naszym położeniu, naszym horyzoncie poznawczym, objawy schyłku formacji gatunkowej, oddzielania się od przeszłości; a także poszukiwanie, przeczuwanie obszarów, na jakich rozwijać się będzie nasza przyszłość.

Równie często spotykam pytanie o śmierć.

Co to jest życie? A co to jest śmierć?

Dwa pytania? A bo ja wiem? Może jedno, tylko wciąż jeszcze nie umiemy zbudować go poprawnie, choć dawno już, bardzo dawno zaczęliśmy odpowiedzieć. Jakąmy się, zacinamy, milkniemy.

Życie. Jest, dopóki widzę na globach płonące znicze.

ŻYCIE

HENRYK GAŁA

li — stan wyróżniony (przynajmniej w naszej galaktyce), jak również o tym, że ma charakter lokalny i czasowo ograniczony. Życie — co to takiego? Smutna i porażająca Edyta Geppert śpiewa: „Życie, kocham cię nad życie!” Ale to tylko piękne nazwanie pewnego stanu uczuć, zastosowanie retoryki miłosnej do bardziej od miłości tajemniczego zjawiska. Kiedy jednak dotknąć myślą tego, skąd ono, życie, się wzięło, jak powstało ze splątania nieprawdopodobnie (tzn. o bardzo niskim prawdopodobieństwie zaistnienia) rzadkich przypadków i wyjątkowych układów, sekwencji

ra von Dittfurtha: „Sądzę, że... już nie należymy wyłącznie do trójwymiarowego świata naszych codziennych doświadczeń... Wiedza o istnieniu ontologicznych poziomów zasadniczo różnej rangi wydała nam się trywialna, kiedy porównywalimy formy egzystencji istot żywych na różnym poziomie rozwoju. Między światem kleszcza a światem koguta nie odkryliśmy żadnego bezpośredniego związku, z wyjątkiem widocznego z naszej pozycji uczestnictwa obu w tym samym wydarzeniu ewolucyjnym. Jednocześnie musieliśmy przyznać, że reprezentowany przez nas samych po-

POBOCZA

Kupiłem pralkę automatyczną, „Frania” poszła więc w ką i w obecności całej rodziny zaczął się pralniczy seans. Efekty akustyczne były wspaniałe: bulgotało, syczało z lekką, pykało tajemniczo, a do tego przez okienko (niemal jak w telewizji kolorowej i to na programie trzecim — „Kolorowa do 60° C”) można było obserwować wirowanie w lewo i w prawo, w prawo i w lewo. Piknie, tylko nieoczekiwanie i ponadprogramowo zaczęła nagle wylewać się z pralki woda. Podtopiło niegorzej łazienkę, a u sąsiadów piętro niżej na suficie pojawiła się kolejna plama. Złapał się za szmaty i po kilku minutach walki z żywiołem można było poruszać się swobodnie, bez groźby zlamania kończyny dolnej. Pocziwa „Frania” wróciła na swe miejsce. Pani z punktu napraw sprzętu gospodarstwa domowego obiecuje, że za tydzień przyjdzie siła kwalifikowana i usunie usterkę. Rodzinny kontestator, liczący sobie lat szesnaście, nie zmarnował okazji, by powtórzyć uwagi o niskiej kulturze technicznej pokolenia przywykłego do nastawiania jednego ucha na śpiewy ptaszek leśnych, a drugiego na równie beztroskie hasła marszowo-budowlane.

Trochę to faktycznie głupio, człowiek do szkół się nachodził, kajetów pozapełniał, książek przewertował. I co? I nic? Cała ta wiedza w „nagłych momentach” funta kłaków niewarta. Jeszcze z „Frania” można sobie poradzić, ale z „Wiatką” — wykluczone! Strach pomyśleć, że może się jeszcze pojawić za naszego żywota kolejna generacja pralek automatycznych. Zdrowy pomysłunek tu już nie wystarczy. Pamiętacie państwo tę opowieść o pomysłunku robotnika? Pamiętacie, no to przypomnę.

Wzniesiono gmach, a po latach rozwoju potrzebna była większa powierzchnia, postanowiono zatem zejść do podziemi w dosłownym, a nie przenośnym tego słowa znaczeniu.

„Fizyczni” zaczęli kopać, bo przecież żadna maszyna po schodach do piwnicy zjechać nie mogła. Któregoś dnia pracującym ukazała się bryła potężnego głazu, takiego w sam raz na pomnik, ale bez szans na przetransportowanie go na zewnątrz. Wysadzić nie można — chyba że z całą instytucją, chemikalia z jakichś tam

z małej chmury

powodów nie skutkowały. Kłops. I jak w bajce, albo w serialu telewizyjnym, inicjatywę przejął jeden z „małuczkich” (w bajce — przypomnę zbyt wyrośniętym — nazywamy ich krasnoludkami), ten właśnie ze zdrowym pomysłem. Zaproponował panu inżynierowi (ta postać w bajkach nie występuje; ktoś na podobieństwo figur z otoczenia księ-

cia, ale nie z tego pierwszego kręgu) układ: będzie litr — nie będzie głazu. Tak się i stało, ku zadowoleniu obu stron. Pan inżynier ponowił, co dobrze o nim świadczy, układ: będzie drugi litr, gdy będzie opis cudu. I znowu skończyło się na obojmu zadowoleniu. Zdrowy rozsadek podpowiedział naszemu bohaterowi, że głaz należy w tym przy-

padku zakopać głębiej, by nikomu nie wadził na poziomie „x”.

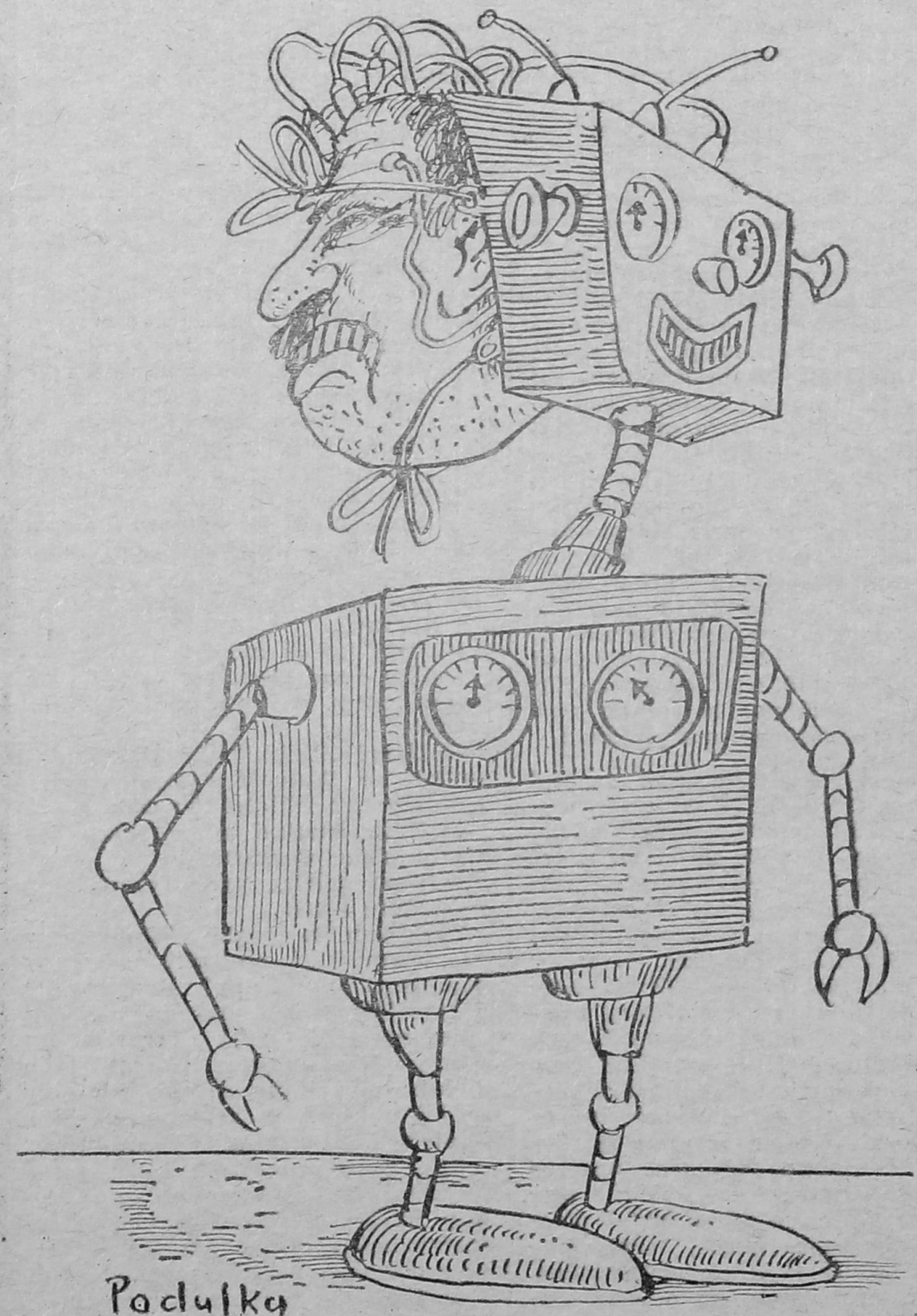
Głaz to jest głaz. Można go obejrzeć przynajmniej w części naziemnej, kopnąć nogą, potraktować młotkiem. To umiemy wszyscy. Ale jak poradzić sobie z pokretem i numerkami, zwłaszcza jeśli te ostatnie znaczą co innego, niż powinny znaczyć. Jeśli przy „trójce” leje się woda, to może przy „czwórce” zacząć przeskakiwać iskry elektryczne, a przy „piątce” nastąpi niekontrolowany wybuch. Brrr!

Pozornie cały ten incydent z awarią pralki automatycznej to mały kamyczek na drodze postępu i rozwoju. Pyłek wręcz w ogrodzie makrostatystycznym. Zgadza się, z taką oceną, ale... mała usterka techniczna spowodowała w moim domu nieobliczalne skutki natury społecznej. Kto wie, czy nie należałoby mówić o znacznym skażeniu atmosfery rodzinnej? Ośląblo wzajemne zrozumienie między mną (od początku byłem przeciwny temu zakupowi) a małżonką („Przecież już wszyscy nasi sąsiedzi mają automaty, co sobie o nas pomyślą”), obniżył się poziom serdeczności, za to wciąż idzie w górę strzałka na dwunastostopniowej skali Beauforta. Szczurom lądowym przypominam przy tej okazji — wszak mamy rok krzewienia wiedzy o morzu — o znacznik sily wiatru: 0 — cisza, 1 — powiew, 2 — słaby, 3 — łagodny, 4 — umiarkowany, 5 — dość silny, 6 — silny, 7 — bardzo silny, 8 — wichra, 9 — wiatr sztormowy, 10 — sztorm, 11 — silny sztorm, 12 — huragan, czyli 118 i więcej kilometrów na godzinę. Tylko patrzeć, jak będę musiał na własny użytek wprowadzić „trzynastkę” (wiatr piekielny, z zawirowaniami, wprowadza w ruch przedmioty niebezpieczne dla całości powłoki cielesnej, z grzmotami, bez szans na nawiązanie łączności).

Cała nadzieja w zapowiadzanym supermanie, który oby zdążył zażegnać kryzys w kryzysie.

SWOJAK

Rys. Andrzeja Podulka



Podulka

refleksje



MŁODA GRAFIKA WARSZAWSKA

11

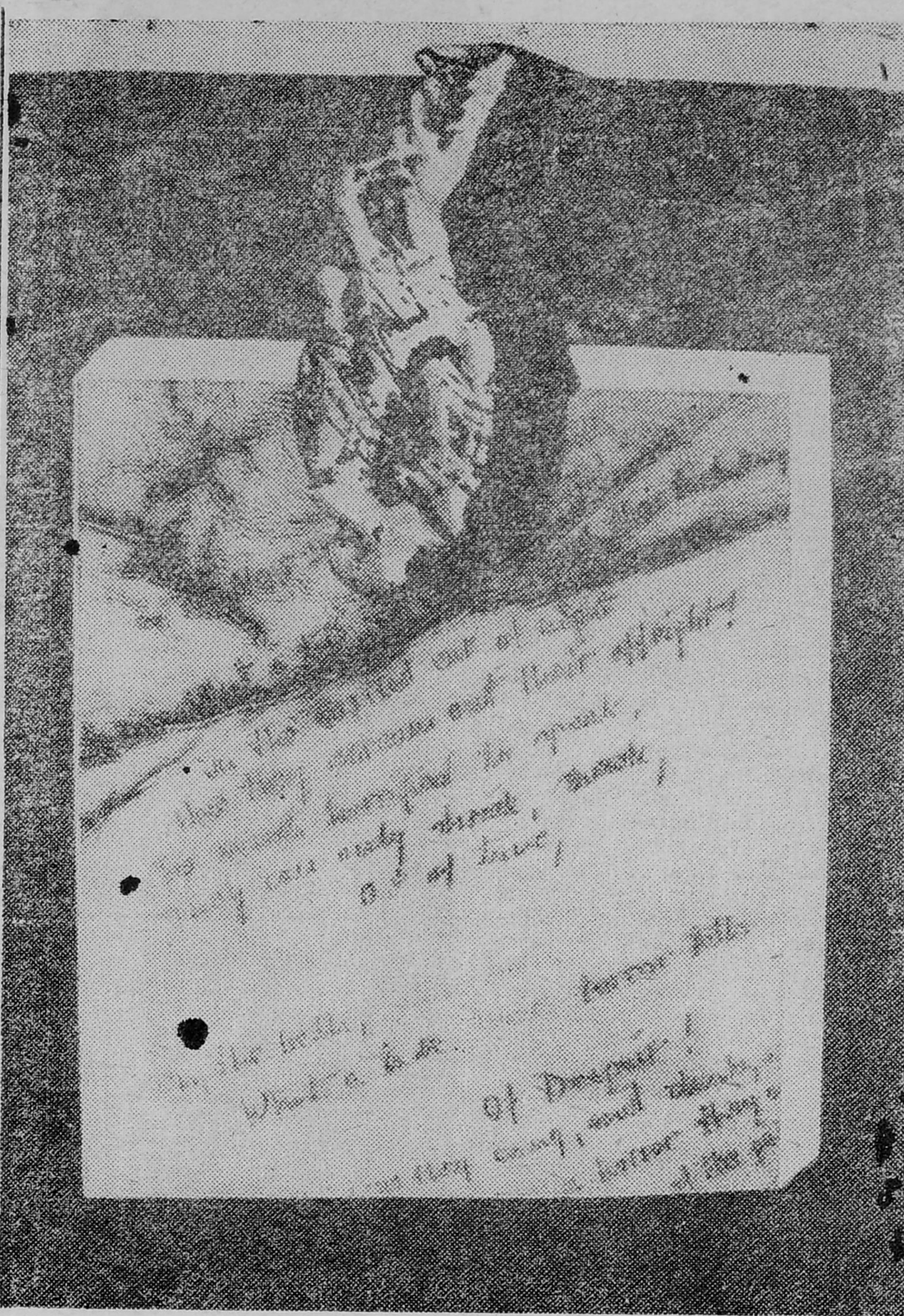
KONTAKTY
1986-11-02

Zbiorowe manifestacje sztuki organizowane są często dla jakiegoś nadrzędnego celu — prezentacji jednego kierunku, szkoły, wyrażenia pewnej idei lub reprezentacji twórczości artystów z danego regionu czy kraju. W przypadku młodych dochodzi jeszcze jeden element, poza względami ideowymi czy estetycznymi: większa możliwość bycia zauważonym, przebijania się przez okupowane strefy do słuchacza, czytelnika i widza.

Wystawa „Młoda grafika warszawska”, otwarta w połowie października w łódzkiej BWA, ma taki właśnie, promocyjny charakter. Zaletą uczestniczenia w wystawie zbiorowej jest możliwość zaistnienia artystycznych prac, a takich w dorobku młodego twórcy nie ma zwykle zbyt wiele. Inny zysk to różnorodność tła, tworzone przez dzieła pozostałych współuczestników prezentacji; tło mogące zdominować prace pojedynczego autora, ale dające też szansę interesującego odwołania się od niego.

Przyznam się, że lubię oglądać takie wystawy, podobnie jak słuchać koncertów złożonych z utworów kilku kompozytorów, i żałuję, że tak rzadkie bywają obecnie almanachy młodej literatury, zaś nie spotyka się wcale teatralnych jednokrótków różnych autorów.

A więc czym i jak przemówili do mnie młodzi graficy z Warszawy na łódzkiej wystawie? Pierwsze spostrzeżenie to brak tak popularnych i podstawowych w grafice technik, jak drzeworyt i linoryt. Ich miejsce zajmują techniki dające bardziej delikatne, malarskie efekty, jak mezzotinta, akwafora i litografia. To prawda, że wystawa ma swój nastój kameralny, chociaż niektóre prace poruszają sprawy o „plakaturowym” charakterze, jak „Terra Mater” Romana Kirilenki czy „Cień” Piotra Smolnickiego. Dominuje jednak ton nostalgicznej nieco liryki, jak w litografiach Lidii Michalak, w



których bardzo efektywnie możliwości subtelnej techniki zostały wykorzystane do stworzenia nastrojowych obrazów — „W blasku gwiazd” i „W deszczu”. Podobnie, choć z większym dramatyzmem, operuje litografią Jan Piotr Szancer, którego „Nadbałtycka mewa” to świetny portret tego krzykliwego, agresywnego ptaka.

Bardzo ciekawe efekty osiąga Dariusz Szybiński stosując technikę mieszaną: tło grafiki zapisuje on odwróconym — jak w lustrze — pismem reliefowym (częściowo tłoczonym), aby kontrastował z nim, naszkicowany miękką mezzotintą, fragment zszytej grubym sznurem materii („Niedokończony list”), zaś Hanna Zalewska, stosując kilka dających delikatne odciski farby technik, stwarza bardzo nastrojowy cykl „Czucia”.

Kontrastują z tymi pracami „dramatyczne” grafiki Tomasza Melaka, mające w sobie coś z agresywności „sztuki parkanów”, czyli skrobanych i mazanych na ścianach wizerunków, których celem jest uwiecznienie szpetoty. Innego rodzaju fascynację przedstawiają rysunkowe grafiki Andrzeja Budka. Szkicowe zarysy stóp, dłoni, męskiego aktu, gestów, stwarzają niepokojący nastrój napiętego poszukiwania tematu lub przygotowania się do wykonania jakiegoś większego dzieła. Jeszcze inny rodzaj widzenia, bardziej od innych ogólnego, będącego próbą wyrażenia jednej z zasad spełnianych przez świat ludzi, prezentuje Andrzej Kalina. Jego „Wieża Babel”, i „Ślad-884” (jedna praca z cyklu) łączy, nieco teatralną, postać człowieka z językiem — narzędziem walki, agresji. Podmalowane sepią i różem te grafiki do odczytywania ciekawie łączą plastyczne echo pisma obrazkowego, jego tajemniczość z ostrością satyrycznego komiksu.

Z ciekawością oczekuję na następne, podobne wystawy.

ZIUTA OWICZ

prezentacje



gotówkę na zaspokojenie wszystkich zachcianek, sam natomiast odwiedzał ją raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. Dzisiaj, w dobie totalnej dewaluacji seksu, te rzeczy przestały być w cenie. Utrzymanek praktycznie już nie ma, no bo niby w jaki sposób mogą być, skoro każdy, choćby w miarę normalny mężczyzna, może mieć po kilka kobiet na każdy dzień tygodnia i to oczywiście za darmo? Pozostają zakochanci, jednakże tym trzeba obiecywać małżeństwo, jeśli chce się ich dość. Tak, ciężkie życie mają kobiety. Jako tako funkcjonują jeszcze prostytutki, co wynika ze szczególnych upodobań dosyć licznej ciałej grupy mężczyzn, ale jest to robota męcząca i szalenie uciążliwa. Nie, prostytutką nie będę!”



Krotko mówiąc, Jilli pozostawał jedynie niezawodny Steward, jej narzeczony, z którym oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru się wiązać. Ten zaślepiony głupiec zakochany był w niej do tego stopnia, że mogła z nim zrobić wszystko, co tylko chciała. Wiedząc o niej wiele, nawet więcej niż mogła przypuszczać, jednak nigdy nie dał tego po sobie poznać, bo mężczyzna trapiiony chorobą miłosną zawsze znajduje jakieś usprawiedliwienie dla swojej wybranki i wystarczy, że się ona czasem do niego uśmiechnie, a wtedy natychmiast puszcza w niepamięć jej najcięższe grzechy.

Jilli założyła sobie, że musi wydebić od Stewarda co najmniej pięć tysięcy dolarów, przygotowała więc butelkę szampana, kanapki i lososiem i świece, w blasku których wyglądała szczególnie pożądaną, zwłaszcza gdy miała na swoim szczupłym ciele na poły przezroczysty szlafroczek, pozwalający mężczyźnie widzieć sporo, ale jeszcze więcej domyslać się, co jest równie ważne, jeśli nawet nie najważniejsze.

„Powrót do Eden” (15) — Laloni Pastiche Stevens

— Słucham? — Greg tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić. O ile wcześniej nie spodziewał się aż tak dobrego przyjęcia, o tyle teraz nie był przygotowany na podobną obelgę, bo niewątpliwie była to przecież obelga.

— No więc słuchaj, ale uważnie — przemysłowiec podniósł się z fotela. — Jesteś zerem, nikim, żigolakiem żyjącym na koszt zakochanej kobiety. Kiedyś podobno grałeś w tenisa, a teraz i tego już nie potrafisz. Co ona mogła w tobie zobaczyć, a raczej czemu była aż tak ślepa, że nie widziała kim jesteś? Mój Boże! — Maxwell rozrzewnił się i dalej mówił już bardziej do siebie niż do Marsdena. — Kiedy niewiasta kończy trzydziestkę, natychmiast przychodzi jej myśl do głowy, że za parę dni przestanie być kobietą. I wtedy zaczyna wariować. Jeśli jest mężatką, bierze sobie kochankę, albo nawet kilku naraz, panny poświęcają życie Bogu lub innemu pannom, a rozwódki i wdowy... zwłaszcza wdowy, rzucają się w ramiona pierwszym lepszym draniom. Takim jak ty.

Tego było już za wiele, nawet jak dla Marsdena, który potrafił z pokorą znosić upokorzenia, jeśli oczywiście sytuacja, w jakiej się znalazł, wymagała od niego pokory. W tym zaś przypadku nie zachodziła już taka potrzeba. Czuł się zwolniony z pracy, a zatem mógł sobie pozwolić na całkowite zlekceważenie byłego szefa.

— Jeszcze tego pożałujesz, stary capie! — powiedział wstając z krzesła. — Przyjdzie czas, że wyrównamy nasze rachunki. Nikt bezkarnie nie będzie mnie obrażał. A teraz, łaskawco, daj się wypchać saletrą i niech cię postawią w muzeum aborygenów!

Reakcja starego przemysłowca na to krótkie, ale niewątpliwie jędrne przemówienie, była zupełnie inna niż się Marsden tego spodziewał: Maxwell po prostu parsknął śmiechem.

— Masz języczek, nie można powiedzieć! — z trudem opanował wybuch niezrozumiałej wesołości. — Tylko, niestety, nie masz rozumu. Nie przyszło ci na myśl, że gdybym chciał cię wywalić z pracy, kto inny wręczyłby ci wypowiedzenie i to bez żadnej rozmowy z tobą? Siadaj, głupcze!

Ostry i nie znośzący sprzeciwu ton głosu milionera zmusił Grega do posłuszeństwa. Siadając, postanowił jednak mieć się na baczności; był Maxwellowi do czegoś potrzebny, a więc jego akcje stały wyżej niż można się było tego spodziewać. Jednocześnie staruch najwyraźniej chciał go najpierw poirytować, zanim mu cokolwiek powie. Do czego był mu potrzebny, co za grę on prowadził?

— Panie Maxwell, o co właściwie chodzi? — Greg przybrał pozę człowieka, który uległ chwilowej emocji, a teraz wstydzi się tego. — Przepraszam za wybuch, ale chyba powinien pan mnie zrozumieć. Dotychczas nikt jeszcze w ten sposób do mnie nie mówił.

— Nie? — radośnie zdziwił się przemysłowiec. — Miałeś ogromne szczęście, mój chłopcze. Przecież jesteś łajdakiem, prawda? No, ale dosyć tego, i nie musisz się martwić, bo nie jesteś w końcu nikim wyjątkowym. Przyglądaj się tylko uważnie: w tym miesiącu drugi to łajdak albo drań, nawet ja sam też nie jestem święty. Hi, hi — staruch roześmiał się oblesnie. — A teraz do rzeczy. Jeszcze nie minął tydzień, a już zniszczyłeś cały dział reklamy moich przedsiębiorstw i gdybym nie miał ugruntowanej pozycji wśród klientów, za miesiąc ruszyłbym z torbami. Trzeba mieć wyjątkowy talent, żeby tak szybko i sprawnie dokonać czegoś takiego! Gdybym nie wiedział, w jaki sposób u mnie się znalazłeś, mógłbym pomy-

STARY DOBRY NUDZIARZ

Gdyby jeszcze kilka lat temu zaprosić młodego człowieka, kim jest Chris de Burgh, nie wiem, czy pytający uzyskałby prawidłową odpowiedź. Ten irlandzki piosenkarz nie był dość znany nawet w swoim kraju, dopiero po nagraniu płyty „The Getaway” (1982 r.) jego nazwisko zaczęło pojawiać się na radiowej antenie i na listach przebojów muzyki pop.

Chris Davidson — bo tak brzmi prawdziwe nazwisko piosenkarza — urodził się 15 października 1948 roku w Buenos Aires. Jako syn dyplomaty dzieciństwo spędzał kolejno na Malcie, w Nigerii i Zairze. Miał 12 lat, gdy wraz z rodzicami wrócił na stałe do swej irlandzkiej ojczyzny. Dwa lata później napisał pierwszą w życiu piosenkę. Pytany teraz o jej treść potrafi powiedzieć tylko tyle, że skomponował ją po to, by zwrócić na siebie uwagę koleżanek ze szkoły. Chris zawsze słynął ze swej pracowitości, dużo pisał i komponował. Mając np. 16 lat miał na swoim koncie już ponad 100 piosenek.

„Lubię pracować i muszę to robić, bo taki już jestem. Świadomość, że mojej płyty będą ludzie słuchać rok, może dłużej, że będą ją grać w radiu i będą się złościć, bo zauważają: tu powinien śpiewać szybciej, lub zupełnie inaczej, sprawia, że od początku wszystko staram się zrobić tak dobrze, aby już lepiej nie można było. I dlatego może lubię najbardziej swoje stare rzeczy, bo przy nich pracowałem najdłużej. Pieści-

łem każdy niemal dźwięk, wygrywałem każdą prawie nutę. Kiedy piosenka jest już gotowa, przestaję o niej natychmiast myśleć i biorę się za drugą. W studiu słucham każdej nuty parę razy, roztrząsam, rozpamiętuję każdą możliwość uzyskania nowego, lepszego brzmienia. Jeśli wszystko O.K., mogę swojej piosence słuchać tak, jak każdy inny człowiek — odbierać ogólne wrażenia, bez analizy potknięć i błędów.”

Wspaniały nastrój, jaki udaje się uzyskać Chrisowi na swoich płytach, jest możliwy do powtórzenia na koncertach. Nad tym brzmieniem trzeba jednak dość długo pracować. Chris najlepiej czuje się właśnie w studiu, które znajduje się trzy mile od jego domu. Zamyka się na długie godziny, zasłania okna i siada przy klawiaturze. Znajduje się tam też biblioteka, z której piosenkarz chętnie korzysta. To właśnie powieści i wiersze stają się inspiracją do powstających w studiu utworów. Nieraz idzie to szybko, w ciągu godziny, czasem jednak trzeba wielu dni, aby powstała melodia.

Chris pracuje w studiu 5 dni w tygodniu, pozostałe spędza w swoim trzypokojowym mieszkaniu w Dublinie. Jest wtedy nieosiągalny dla nikogo. Ludzie mówią, że piosenkarz jest właścicielem zamku, ale to nieprawda. Zamek oczywiście istnieje, a w nim hotel, którego właścicielami są rodzice piosenkarza. Chris bywa tam, ale tylko po to, by pomóc przy strzyżeniu traw-



Reprod.: Stanisław Andruskiewicz

ników. Wolny czas spędza przeważnie z żoną. Bardzo często towarzyszy mu ona na koncertach i przy nagrywaniu piosenek w studiu. „W wolnych chwilach maluje na szkło, to jest wielkie hobby” — twierdzi Chris.

Od dwóch lat Chris jest szczęśliwym ojcem. Cekał na narodziny córki Rosanny sześć lat. Zona przez ten czas przeszła długie leczenie, zakończone skomplikowaną operacją. Kiedy urodziła się mała, Chris jakby oszalał ze szczęścia. Niechętnie jeździł w trasy, każdą wolną chwilę spędzał ze swą ukochaną córeczką. Spacerował wśród pól, łąk i lasów — to nie tylko przyjemność dla piosenkarza, to także inspiracja. „Bardzo często — jak twierdzi — przychodziło mi wtedy wiele pomysłów do głowy.” Min. piosenka „For Rosanna”.

„To strasznie głupie uczucie — mówi Chris — gdy tysiące ludzi słuchają tej piosenki, która dotyczy moich bardzo osobistych spraw. Wieczorem wiele godzin siedziałem przy łóżeczku śpiącej już Rosanny. Myślałem o niej, o tym, jak powoli staje się duża, o jej przyszłości. Zalała mnie fala uczuć, płacząc i drżąc ze wzruszenia napisałem tę piosenkę.”

Ale nie tylko o sobie i swojej rodzinie śpiewa Chris. Jak twierdzi: „każdy człowiek jest zmuszony do ciągłego uciekania — choćby przed politykami, bo oni dysponują bronią atomową i mają władzę”.

Chris — zwolennik ruchu obrońców pokoju — swój lęk przed wojną i totalną zagładą uczynił tematem wielu swoich piosen. Absurdalna, bezsensowna śmierć w imię politycznych rozgrywek jest treścią utworu „Borderline”. Pokój, miłość, przyjaźń — te odwieczne, niepodważalne wartości przewijają się najczęściej w poezji Chrisa. Gdy śpiewa o miłości, najczęściej ołiera za temat rozstanie. Być może dlatego, że sam, jako 18-letni chłopak, musiał wsiąść do samolotu i — mimo że kochał — wyjechać, i powiedzieć sobie: „skończyło się”.

Nazywany przez wielu starym, dobrym nudziarzem — potrafi „nudzić” o miłości, o pokoju, o człowieku, ale robi to tak wspaniale, że nikt przy tym nigdy się nie nudzi.

śleć, że nadszła cię moja konkurencja. Krótko mówiąc, zrobimy tak: od dzisiaj żadnych decyzji, zarządzeń ani pomysłów, masz tylko podpisywać to, co sekretarka przyniesie ci do podpisania. Jasne?

— To znaczy... — Greg zaczął ostrożnie. Ciągłe nie wiedział jeszcze, jaką grę Maxwell prowadzi i czy w tej grze będzie można coś wygrać. — To znaczy, że mam być figurantem?

— Zgadłeś! No więc jak, umowa stoi?

Greg zastanawiał się gorączkowo. Z jednej strony dobrze jest nie robić i brać pieniądze, z drugiej natomiast nikt za darmo nikomu pieniędzy nie daje. Za tym wszystkim coś się musiało kryć, tylko co? Nie, stanowczo nie mógł zgodzić się na propozycję milionera, bez wyjaśnienia sprawy do końca.

— Panie Maxwell, grajmy w otwarte karty. Czego się pan po mnie spodziewa?

Starzec pokiwał głową z wyraźną aprobatą: — No, nareszcie rozsądne pytanie. Mój drogi chłopcze, obaj mamy interes do twojej żony. Ty potrzebujesz od niej pieniędzy, ja zupełnie czego innego, ja pomagam tobie, ty pomożesz mnie, to chyba uczciwe, prawda?

Marsden odetchnął z ulgą. Jeśli tylko o to chodziło, nie stało na przeszkodzie, żeby przyjąć propozycję Maxwella, bez względu na rodzaj interesu, jaki staruch chciał ubić ze Stefanią. Wykorzysta swój wpływ na żonę, pomoże mu to załatwić, gdyby natomiast sprawa przerastała jego możliwości, to i tak przynajmniej zyskuje teraz na czasie.

— Zgoda, panie Maxwell. Mam nadzieję, że w odpowiednim czasie powie mi pan, o co chodzi?

— Dobrze masz nadzieję, a teraz zegnaj!

Kiedy Greg podchodził już do drzwi, stary przemysłowiec powiedział jeszcze: — Zaczekaj chwilę. Sekretarka da ci taśmę z twoją, hm, audycją. Odkupiłem ją od telewizji, kopii nie ma! Możesz ją zniszczyć, albo zachować na pamiątkę. Wyobrażasz sobie, jaką frajdę zrobisz swoim wnukom, jeśli się ich, oczywiście, doczekasz?

Marsden bez słowa wyniósł się z gabinetu, przysięgając sobie w łuchu, że kiedyś policzy się z tym łobuzem. Musi tylko mocno stanąć na nogi, do czego niezbędne są pieniądze, grube pieniądze, nie zaś te nędzne grosze, jakie otrzymuje od Maxwella.

O pieniądzu myślał również przemysłowiec, choć naturalnie w zupełnie innym kontekście. Bawiła go myśl, że upiekl na jednym ogniu aż dwie pieczenie naraz, bowiem źródło dyrektorskiej pensji Marsdena było w portfelu Stefani, która zainwestowała ćwierć miliona dolarów w jedną z jego fabryk włókienniczych, cały zaś olbrzymi z tego tytułu dochód przeznaczyła na wynagrodzenie dla swojego męża. Nowy — pożałuj Boże — dyrektor nie kosztował zatem ani centa, a że był wyjątkowo głupcem, z pewnością łatwo będzie go wplątać w jakąś aferę i wówczas, żeby ratować ukochanego, Stefania zrobi to, czego od niej zażąda: pomoże mu zdobyć jedno z najcenniejszych płócien Tintoretta, które znajduje się w posiadaniu pewnego profana, zbyt jednakże bogatego, żeby mógł go skusić największe nawet pieniądze. Człowiek ten miał na szczęście pewien słaby punkt, Maxwell dobrze o tym wiedział, i na wrośbę Stefani oddałby jej swoje życie, więc nie powinno być większych kłopotów z wydebieniem od niego arcydzieła Tintoretta.

Istniała inna jeszcze osoba, która podobnie jak Maxwell zainteresowana była w szybkiej i bolesnej klęsce dyrektora Marsdena.

Kiedy Jilli dowiedziała się o posadzie, jaką otrzymała, natychmiast pomyślała sobie, że Stefania musiała maczać w tym palec. Bez jej pomocy jakże to samobójca ofiarowałby stanowisko tak ważnego komuś takiemu jak Greg? Czy podobna, aby miał nim być stary wyjadacz przemysłowy, rekin biznesu, którego nikt jeszcze dotąd nie zdołał oszukać? Nie, Stefania z pewnością zaaranżowała całą tę hecę, co jednak skłoniło Maxwella, że wziął w niej czynny udział, narażając tym samym na szwank własną reputację znakomitego szefa?

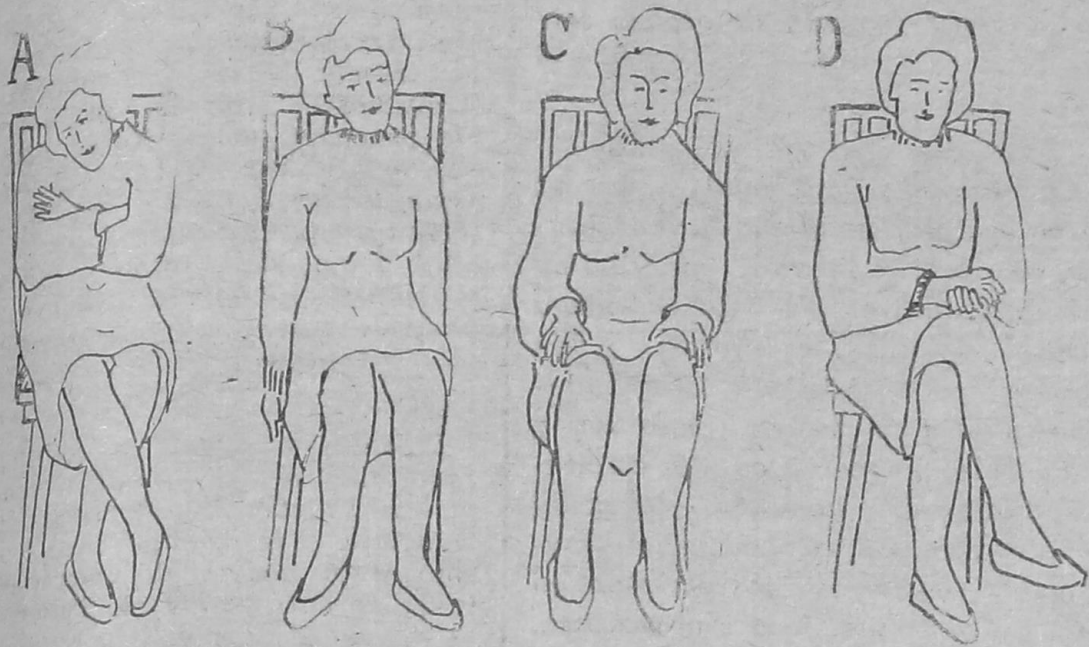
Przez kilka pierwszych dni Jilli biła się z myślami, biorąc pod uwagę i taką niemożliwą prawie możliwość, że Greg jakimś cudem trafił na swoje przeznaczenie i stał się właściwym człowiekiem na odpowiednim miejscu. Gdyby tak było, wówczas wszystkie jej plany uległyby oczywiście całkowitej dezaktualizacji, czyli — mówiąc najprościej — pieniądze diabli by wzięli. Na szczęście, bardzo szybko napłynęły wieści o skutkach autokratycznych rządów nowego dyrektora, a miała je z pierwszej ręki, ponieważ jednym z jej kochanków był Nick Sovinsky, człowiek, który najwcześniej ze wszystkich wręczył Marsdenowi swoje wymówienie.

Telewizyjny show nowego szefa reklamy oglądali wspólnie, leżąc w łóżku, w przerwie między kolejnymi potyczkami, i oczywiście żartowali się ze śmiechu. Teraz Jilli była już całkowicie pewna, że Greg wyleci z pracy i wszystko wróci do normy, a nawet będzie o wiele lepiej. Musi mu tylko wmówić, że całą winę za to niepowodzenie ponosi Stefania, bo to przecież ona załatwiła mu pracę niezgodną z jego kwalifikacjami. Kiedy się o tym dowiła, ani chybi wpadnie w szal, dzięki czemu nareszcie zacznie działać, bo jak dotąd nic nie robił, żeby choć trochę przybliżyć ich do celu.

Kiedy minęło kilka dni i Greg jak dawniej chodził do pracy, Jilli zaczęła węszyć jakieś niebezpieczeństwo. Tok jej rozumowania podążał w kierunku jak najbardziej prawidłowym: musi istnieć jakiś szczególnie ważny powód, dla którego Maxwell go nie wyrzucił, a jeśli taki istnieje, ona musi go poznać za wszelką cenę. Nie jest przecież wykluczone, że tych dwóch łobuzów dogadało się iakoś ze sobą i wspólnie pragną zawładnąć majątkiem Stefani, pozostawiając na lodzie. W takim wypadku, jeśli zdobędzie dowody, natychmiast ostrzeże panią Harper-Marsden, bo nikt, poza nią, nie ma prawa do pieniędzy tej kobiety. Zbyt wiele dotąd wycierpiała, za dużo musiała znieść upokorzeń, za dużo łaciła z nimi marzeń i pragnień, aby teraz ktoś miał tę forsę zgarnąć jej sprzed nosa. Nie dopuści do tego, choćby nie wiadomo co miało się zdarzyć.

Powziąwszy takie postanowienie, Jilli, z wrodzoną sobie skrupulatnością, przystąpiła do realizacji planu, który w pierwszym rzędzie zakładał zdobycie pieniędzy niezbędnych do pokrycia największych wydatków. Wprawdzie była już winna Stewardowi blisko dziesięć tysięcy, jednakże od kogo mogła pożyczyć, jeśli nawet nie od niego? „Czasy wielkich metes i ich kochanków dawno minęły — myślała ze smutkiem. — Kiedyś, jakieś sto, czy nawet pięćdziesiąt lat temu, kobieta łapała frajera, który kupował jej umiłowane mieszkanie, opłacał służbę, dawał w prezencie klejnoty i

czy jesteś towarzyski?



Mimika, gestykulacja, sposób poruszania się, siedzenie odzwierciedlają niektóre wewnętrzne cechy człowieka. Mogą wiele powiedzieć o właściwościach jego charakteru. Jeśli chcesz dowiedzieć się, czy jesteś towarzyski(a), przyjrzyj się uważnie zamieszczonym powyżej rysunkom, przedstawiającym różne sposoby siedzenia. Wybierz spośród nich ten, który jest najbardziej zbliżony do pozycji, jaką najczęściej przyjmujesz siedząc, a następnie przeczytaj odpowiednią charakterystykę.

A. Jesteś osobą bardzo zamkniętą w sobie, z dużym dystansem do innych ludzi. Koncentrujesz się na sobie, na swoim wnętrzu, co przeszkadza Ci w nawiązywaniu bliższych związków z innymi. Boisz się źle wypaść w oczach otoczenia.

B. Jesteś towarzyski(a). Zle czujesz się w samotności. Zawsze usiłujesz znaleźć się w grupie i tam błyszczeć. Imponujesz innym poczuciem humoru, luzem i łatwością nawiązywania kontaktów.

C. Równie dobrze czujesz się sam, jak i wśród ludzi. Nie dążysz ze wszystkich sił do tego, aby zawsze ktoś był obok Ciebie, ale gdy jesteś w grupie, nie zamykasz się w sobie i nie izolujesz. Łatwo nawiązujesz kontakty z innymi ludźmi i dążysz do tego, by były one szczere i otwarte.

D. Bardzo chciał(a)byś utrzymywać kontakty z innymi, ale przeszkadza Ci w tym Twoja sztywność i ciągła kontrola tego, co mówisz i robisz. Na spontaniczność pozwalasz sobie tylko w kontaktach z bliskimi osobami.

Największemu i najgroźniejszemu wężowi w Indiach wyznawcy Buddy oddają cześć. Jak głosi legenda, kiedy Budda wędrował po kraju i zmęczony zasypiał w drodze, kobra swym splaszczonym grzbietem osłaniała jego oblicze przed słońcem. Hindusi stawiają jej świątynie, a każdego roku w Shirala świętują dzień tego gada. Wierzą także, że dotknięcie kwiatem głowy

kobra

kobry chroni przed śmiertelnym ukąszeniem. Choć kobra zazwyczaj sama nie atakuje, przypadkowe jej potrącenie kończy się zawsze tragicznie. Każdego roku notuje się w Indiach po tysiąc śmiertelnych przypadków. A kobra można spotkać wszędzie: nie tylko w dżungli, ale i w ogrodach czy parkach miejskich. Czasem wślizguje się nawet do mieszkań.

żadnego
pożytku

Nadzwyczaj rzadką właściwością mózgu, zwaną „aktywnością obu półkul”, może się pochwalić John Clogg. Potrafi on, na przykład, pisać jednocześnie prawą i lewą ręką dwa różne zdania, a przy tym rozmawiać na dowolny temat. Taki człowiek trafia się raz na miliard osób. Jednak talent ten, jak twierdzi Clogg, nie przyniósł mu żadnego pożytku.

abunkowa gospodarka w lasach podzwrotnikowych (wycinanie drzew na celulozę) powoduje, że roślinność stopniowo tam zanika. Pierwszą oznaką zmian w systemie ekologicznym obszarów podzwrotnikowych są coraz niższe zbiory orzechów brazylijskich. Do niedawna Brazylia z eksportu tych owoców uzyskiwała rocznie ponad 16 milionów dolarów. Chcąc utrzymać swe

TOPOR
NAD DZUNGŁĄ

zyski, Brazylijczycy zakładali w wyodrębnionych miejscach nowe plantacje orzechowców. Chociaż drzewa te bardzo dobrze rosły i kwitły — to jednak, niestety, nie owocowały. Dlaczego? W dżungli orzechowce zapyłane są przez specjalny gatunek pszczoły, które żyją w miejscu występowania epifitycznych orchidei, te zaś rozwijają się wyłącznie w swym środowisku naturalnym.

WILCZE ZĘBY

Ferdynand, cesarz niemiecki, chcąc ująć Stefana Batorego, posłał mu Order Złotego Runa. Batory go jednak odesłał ze słowami: „Ponieważ wilcze zęby są godłem Batorych, nie mogę dopuścić, by cesarski baranek znalazł się w tak niemitym sąsiedztwie”.

TANIE DANIE

MOSTEK CIEŁĘCY NADZIEWANY

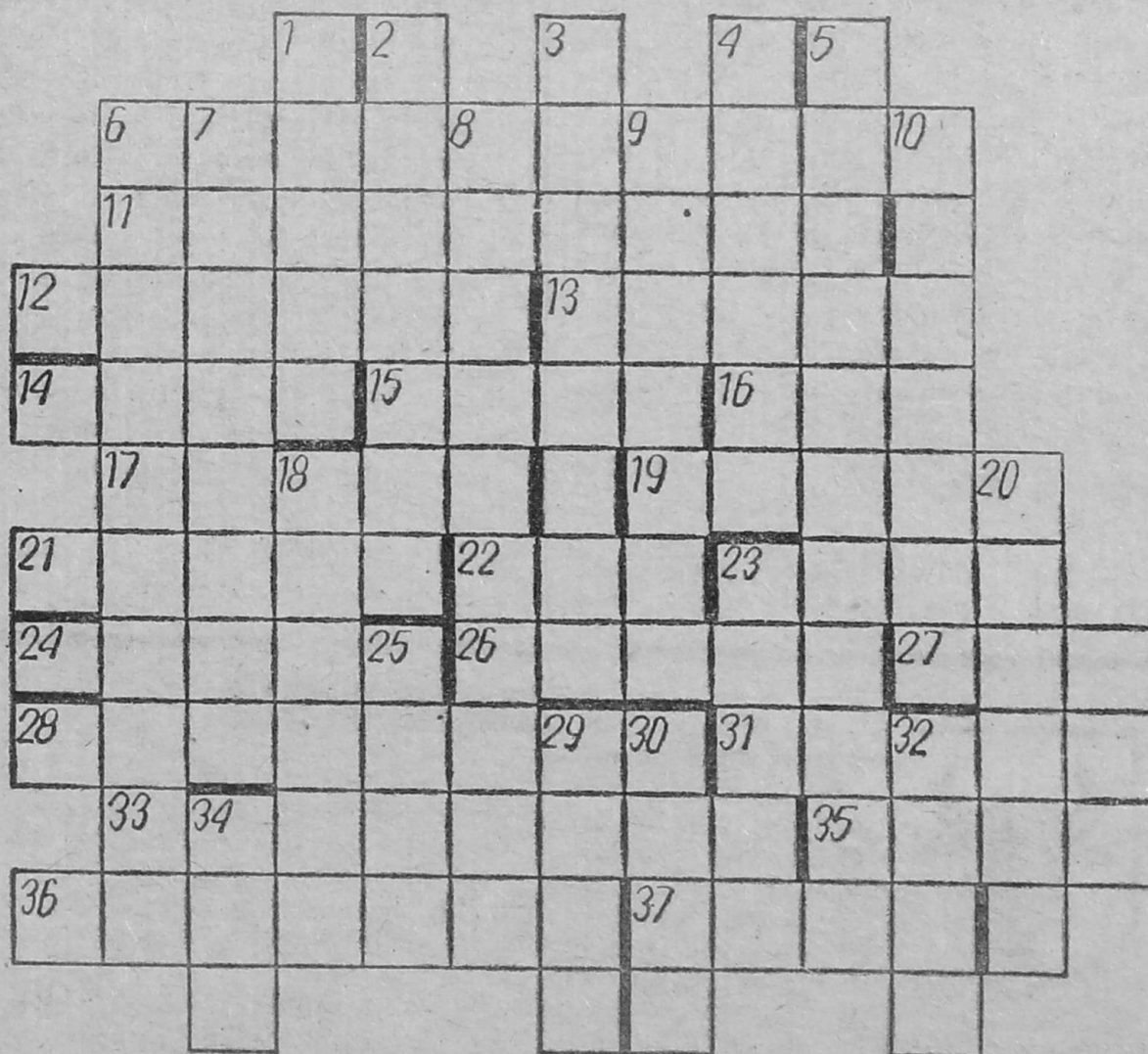
Produkty: 1 kg mostka ciełego, pół szklanki oliwy lub 6 dkg tłuszczu; nadzienie: 5 dkg ryżu, 15 dkg kiełbasy szynkowej, 3 duże pomidory, zielona pietruszka, jajko, sól, pieprz.

Mięso oplukać, ostrym nożem naciąć chrząstki u nasady żeber, a następnie przelać, aby zakończenia żeber wyszły na wierzch. Ostrożnie wyluzować kości żebrów (nie podziurawić mięsa); zrobić „kieszki”, rozdzielając dwa płaty mięsa przez rozdarcie błon, i poszerzyć ją. Ryż zagotować w dużej ilości

osolonej wody, odcedzić. Dodać do ryżu pokrajaną w drobną kostkę kiełbasę, obraną ze skóry i pokrajaną w kostkę pomidory oraz nać pietruszki. Wszystko dokładnie wymieszać z surowym jajkiem. Przyprawić solą, pieprzem. Mięso nasolić wewnątrz „kieszki”, nałożyć nadzienie i zaszyć nicią. W brytfannie rozgrzać oliwę lub inny tłuszcz, włożyć posolony z zewnątrz mostek, wstawić do piekarnika i piec ok. 90 min., często polewając tłuszczem z pieczenia. W razie potrzeby sos uzupełniać wodą.

S W A W O L N I K

Pewien hodowca amerykański wynalazł znakomitą pożywkę, która przyspiesza tucź świń. Jest nią strawa duchowa. Hodowca zainstalował w obiektach inwentarskich magnetofon, z którego odtwarza nieco absurdalne historyjki miłosne, opowiadane z lekkim akcentem szwedzkim. Swiniom tak to poprawia humor i apetyt, że prawie „rosną w oczach”.



POZIOMO: 6) komedia Moliera, 11) towarzysz niedoli Robinsona, 12) w tygodniu, 13) twórca czeskiego filmu animowanego, 14) rodzaj ciastka, 15) holownica, określająca, 16) pomidorowy, jabłkowy, 17) antropolog polski (1906–71), 18) jezioro we wsch. Afryce, 21) pasja, konik, 22) do uszczelniania butelek, 23) zbocze góry, 24) tło, 26) jezioro w pobliżu Olsztyna, 27) lęty ziemniaczane, 28) bawełna czarna, przygotowana do przedzienia, 31) reklamowy gaz, 33) laleczka, 35) zespół trzech artystów, 36) poranny strój kobiecy, 37) formacja drużyny piłkarskiej. PIONOWO: 1) część nogi, 2) w parze z guzikiem, 3) nowotwór łagodny, 4) prowincja w środkowych Chinach, 5) Woronin, Sarul, 6) oliwa, 7) umożliwia przychodzenie narty do buta, 8) olinowanie, 9) dawniejsza walka, zapasy, 10) samochodowy sygnał, 18) współczesny malarz radziecki (ur. 1903 r.), 20) wymowa nie sześci, 25) brat Ab'a, 29) fałsz, 30) plemiona Afryki Zach., 32) jedna z czynności rolnika, 34) japońska forma poetycka. (HCL)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy zestawy pasmanteryjne, ufundowane przez ZPP „Pasmanta” Oddział w Grójcu.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki z numeru 41 książki wylosowali: JANINA SIEKAŃSKA (Rudniki), ŁUKASZ STARCZAK (Zambrów) i KAZIMIERZ US-CIŃSKI (Zaręby Kościelne).



WIEŚCI GRODZKIE

Budownictwo to jedna z tych dziedzin, które szczególnie interesują wszystkich. Od tego, ile będzie mieszkań, obiektów użyteczności publicznej, zależy poziom naszego życia. Niestety, ciągle nie jesteśmy zadowoleni z przebiegu prac na uspołecznionych budowach. I mimo że prowadzone są one za wspólne pieniądze, często pozostaje nam jedynie bezsilna złość. Odwiedziliśmy kilka budów, by tym razem wysłuchać zdania budowlanych.



CHESŁAW CWA-LINA, kierownik budowy Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego: — W budynku dworca PKS-u trwają roboty wykończeniowe w kasach, jałdiodajni i poczekalni. Jego oddanie zostało przewidziane na 1987 rok. Robotę opóźnia brak dokumentacji, m.in. na podłączenie budynku do osadników ścieków. Nie możemy też bez dokumentacji ułożyć kabla energetycznego. Dokumenty powinien dostarczyć inwestor, czyli Urząd Miasta i Gminy w Kolnie. Bez nich nie możemy wpuścić na teren budowy podwykonawcy — Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych.



Systematycznie zamieszczamy informacje o inicjatywie miejscowej organizacji ZSMP. Jak wiadomo, grupa młodzieży w zamian za mieszkania, podjęła pracę na budowie. Z informacji kierownika LPB wynika, że ich praca przynosi przedsiębiorstwu korzyści. Zamieszczamy dziś opinie członków młodzieżowej brygady, którzy woleli zachować jednak anonimowość.

— W umowie, którą podpisaliśmy, jest haczyk. Jeśli się w nią wczyna, łatwo stwierdzić, że nasza pozycja jest bardzo niepewna. Podstawowy warunek, który musimy spełnić, to przepracowanie nienagannie trzech lat. Ale przecież na pół roku przed upływem tego terminu może powinąć się noga, przedsiębiorstwo wypowie umowę, a my dwa i pół roku pracy w nowym zawodzie będziemy mieli z głowy. W umowie jest zapisane, że mamy pracować w Wysokim Mazowieckiem, ale pięciu kolegów zostało skierowanych do pracy w Nurze. Mamy też inne obawy. Obecnie wznoszone osiedle zostanie ukończone za trzy lata, tymczasem słyszeliśmy, iż tereny pod budowę następnego są jeszcze własnością rolników i dopiero za cztery lata przejdą na własność miasta.

— Na budowie panuje wielki bagagan. Nie ma się gdzie umyć. Jest



Z rocznym opóźnieniem wznoszona jest stacja uzdatniania wody. Głównym wykonawcą jest Białostockie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych.

WIESŁAW GRAJEWSKI, kierownik grupy robót: — Opóźnienie wynikało z kilku przyczyn. Byliśmy przygotowani na to, że zimą wykonamy roboty wykończeniowe w głównej stacji uzdatniania. Niestety, podwykonawca, czyli Białostockie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłu Lekkiego, nie zdołał wykonać na czas uszczelnienia hali. W zimnych pomieszczeniach nie można było spawać, a tych robót w budynku jest bardzo dużo. Latem natomiast spawacze musieli przyspieszyć wykonanie ciepłociągu w Łomży. Ciągłe borykamy się z brakiem transportu. Korzystamy z usług „Transbudu”, ale

KOLNO

Lepiej przebiega robota przy „mieszkaniówce”. Chcemy w tym roku przekazać lokatorom 48-rodzinny dom. Poza tym na ten rok mamy zaplanowane posadowienie jednego bloku i zmontowanie drugiego. Niestety, nie został wykupiony teren pod budowę stacji trafo. Choć trzeba przyznać, że budowy w Kolnie przebiegają rytmicznie. I wcale nie dlatego, że mieszka w tym mieście dyrektor LPB.

Przy okazji informacja: prowadzą również budowę krytego basenu przy Liceum Ogólnokształcącym w Łomży. Z powodu braku materiałów ocieplających i niepodłączenia na czas centralnego ogrzewania, zimą roboty na tym obiekcie będą wstrzymane.

WYSOKIE MAZOWIECKIE

tylko jedna miednica, ale i tak nie można jej używać, bo podstawiamy ją pod przeciekający pojemnik z kawą. Pracujemy od pół roku i nie otrzymaliśmy dotąd mydła ani ręcznika, nie ma też rękawic ochronnych. Fatalnie zorganizowana jest robota. Przykład? Do jednego krana ustawia się kolejka, jeśli jeden biorą wodę, to my musimy zatrzymać betoniarke i czekać. Nie ma narzędzi. Na budowie jest tylko jedna siekiera i pila. Obie przyniesli pracownicy z domu.

— Nie podoba nam się sposób wynagradzania. Pracowałem w brygadzie ze stałymi pracownikami z LPB. Oni zarobili po 27 tysięcy, ja o dziesięć tysięcy mniej, mimo że wykonywałem tę samą robotę. Zgoda, oni mają dłuższy staż, ale z tego tytułu różnica nie powinna być aż tak duża. Pracujemy kilka miesięcy, przeszliśmy różne kursy, a stawka wynagrodzenia (42 złote za godzinę) nie zmieniła się. Ciągłe odrywają nas od roboty. Tylko my nadajemy się do rozładunku. Nie ma z kim podzielić się naszymi bólami. Majster na takie tematy nie chce rozmawiać; byli tu ze związku zawodowego, opowiedzieliśmy im o wszystkim, ale pozostało bez echa. Przyjeżdżali też z Zarządu Wojewódzkiego ZSMP, ale też chyba niewiele mogą nam pomóc.

ZAMBROW

jeśli na stację w Łomży trafia „wahadło” z materiałami budowlanymi, przez kilka dni nie możemy otrzymać wywrotki czy innego pojazdu. Musimy „zrozumieć”, że inni zapłaciliby wysokie oślowe.

Brakuje luków, kolanek. Okazuje się, że hutom oplaci się robić rury proste, o dużym przekroju. Rozliczają się z produkcji na wagę, a nie z tego, co jest potrzebne na takich budowach jak nasza.

LESZEK CHRZANOWSKI, kierownik budowy z Białostockiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Lekkiego: — Musimy w tym roku zdążyć z ociepleniem budynku, ale na budowie zamiast 50 ludzi, pracuje 20. Nie możemy też dostać styropianu. Zostały nam do wykonania jeszcze drogi i budynek portierni. Tu przeszkodą jest brak cementu.

Dwaj stateczni rolnicy z wsi Bujny (gmina Sokółka), 53-letni Józef D. i 71-letni Aleksander S., pobili się między sobą. W bóje, jak łatwo było przewidzieć, bardziej ucierpiał starszy uczestnik, a ponieważ prawidłowe funkcjonowanie jego organizmu zostało naruszone na więcej niż siedem dni, sprawą z urzędu zainteresowały się organa ścigania.

Czesław M., tomzownik, wracał nieco podpięty do domu w os. Jantar. W pobliżu parku przy ulicy Świerczewskiego podeszło do niego dwóch mężczyzn, z których jeden poprosił go o zapalki, a drugi uderzył pięścią w twarz, nabrawszy widocznie pewności co do chwilowo osłabionej kondycji fizycznej przechodnia. Gdy Cz. odzyskał przytomność, stwierdził, że rozebrała go nie tylko wódka, lecz i napastnicy. Leżał bowiem bez butów, kurtki i „surawierów” oraz portfela.

miast w mieszkaniu przy ul. Bożejnej w tym samym dniu i o tej samej porze walamywać jedynie nieco pobuszował.

Tylko jeden dzień trwało ustalanie sprawców włamania do restauracji „Leśna” w Kolnie. Okazało się nimi trzech nieletni: Mariusz Sz. (lat 13, trzecia klasa podstawówki), Krzysztof C. (lat 16, nie uczy się, nie pracuje), obaj z Kolna, oraz ich kolega z Pisz, Jacek A. (lat 14, ósma klasa). Ich łupem padł zegarek ścienny, aparat telefoniczny, 6 butelek wina, słoik fasoli z wotowiną i drugi — z marynowanymi grzybami.

Pokonując niemały opór krat, zamków i drzwi, złodziej dopadł do dwóch skarbczyków Grajewskiego Oddziału Przedsiębiorstwa Surowców Wtórnych, skąd porwał metalową kasetkę z 704 zł. Tyle zachodu i jeszcze do pół litra trzeba było dolożyć. Ekonomiczniej i bezpieczniej zbierać makulaturę.

Z KRONIK MO



Wincenty K. z Łomży skradł swej żonie Wandzie dwa złote pierścienie wartości 110 tysięcy złotych.

Prokurator rejonowy w Łomży aresztował tymczasowo Kazimierza G. z gminy Miastkowo, podejrzanego o to, iż w okresie od 24 września do 7 października br. pracując w punkcie skupu ziemniaków w Nowogrodzie uzależniał określenie procentu skrobi, a także samo przyjęcie ziemniaków, od udzielenia mu korzyści majątkowej, czyli tzw. łapówki.

Marian G., dwudziestotrzyletni manewrowy w Zakładach Płyt Włórowych w Grajewie, został zatrzymany przez prokuratora rejonowego w Grajewie na trzy miesiące. Podejrzany jest o kradzież motocykla (porzucił go po wymontowaniu pewnych części) ze stodoły Stanisława M. oraz wiertarek elektrycznych, pilarki i innych narzędzi na sumę około 450 tysięcy złotych z magazynu Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolnego w Grajewie, do którego włamywał się dwukrotnie.

Tadeusz M. przyjął na sublokatora młodszego o 11 lat szwagra, posadzkę zatrudnionego w WPKB. Któregoś dnia szwagier, Ryszard P., wrócił do domu podpięty i wojowniczo nastrojony. Gospodarz został pobity nie na żarty: złamany nos i dwa zębra świadczą o tym wymownie.

Dwaj uczniowie Szkoły Podstawowej nr 1 w Łomży, czternastoletni Jacek J. i Artur P., oraz ich starszy o rok kolega z Zasadniczej Szkoły Drzewnej, Konrad Sz., włamali się do kiosku „Ruchu” przy ul. Moniuszki i po oderwaniu kraty zabezpieczającej okienko zabrali z kontuaru pozostawione tam przez sprzedawczynię 205 zł.

Z grajewskiego mieszkania przy Wojska Polskiego włamywacze wynieśli damski kożuch, złotą i srebrną biżuterię, 48 000 zł i 3 kawy. Nato-

Z budującego się domu przy ul. Korczaka w Łomży zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, lecz z wiadomych przyczyn, narzędzie stolarskie i ślusarskie, oprzyrządowanie tokarki, gniazdko elektryczne, kontakty, rozetki.

Janusz J., kierownik budowy zakładu produkcyjnego w Sokółce, pobral z magazynu styropian wartości 3645 zł i odsprzedał „klientowi” za 6000 zł.

Kierowniczka kantyny w Grajewie spowodowała przez rok niedobór około pół miliona zł, o czym RUSW został powiadomiony przez Wojskową Centralę Handlową w Warszawie i wszczęł przeciw Elżbiecie D. dochodzenie.

W ciechanowskiej masarni wybuchł w Dniu Milicjanta pożar. Z płomieniami nie kryje się jednak żadna tajemnicza afera. W komorze wędzarni nie było w momencie niebezpieczeństwa żadnych wędlin. Ogień rozpalono jedynie po to, by uwęglać stoninę. Spalił się dach wędzarni kryty eternitem. Straty — około 100 tysięcy zł, przyczyna — wadliwa instalacja wędzarni.

Natomiast w Łomży w Dniu Milicjanta plutonowy z RUSW interweniujący w obronie łodzinian Mariana W., którego miejscowy tokarz Krzysztof P. uderzył bez powodu w twarz przed „Delikatami”, sam został zaatakowany przez krewkiego dwudziestolatka. Młodzieńca, nie bacząc na dzień świąteczny, oraz grożąc mu — jak co dzień — odpowiedzialność karną za tego typu czyn, uderzył milicjanta w twarz i kopnął w krocz.

Nieodwołalnie nadięga zima: co raz częściej złodzieje interesują się ciepłą odzieżą i przetworami domowymi, a z piwnicy tomzownika Ryszarda W. ktoś skradł ruszt do pieca i 200 kilogramów węgla.

Rys. Jerzego Dobrzyńskiego

PRZYPOMINAMY!

Jeszcze do 10 listopada możesz zaprenumerować „Kontakty” na 1987 r. Oplatę: za kwartał 195 zł, półrocze — 390 i za rok — 780, przyjmują oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch”, urzędy pocztowe i doręczyciele.

Chcesz przeczytać wszystkie numery „Kontaktów” — skorzystaj!

PRZYPOMINAMY!

BIURO IMPREZ ARTYSTYCZNYCH „ARTEX”
w Białymstoku

ODWOŁUJE

ze względów organizacyjnych koncert „SHAKIN DUDI” w Łomży w dniu 19 XI.

Przepraszamy. BIA „ATEX”.

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Kolnie w postępowaniu przyspieszonym w dniu 1986.09.29 prawomocnym orzeczeniem z art. 51 § 2 kw. ukarało ob. Józefa Szostkowskiego, s. Tomasza, zam. Kolno, ul. Sikorskiego 4/5, karą zasadniczą grzywny w wysokości 40 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 80 dni aresztu zastępczego, przyjmując równoważnik pieniężny 500 zł za jeden dzień aresztu, orzekło jako karę dodatkową podanie orzeczenia do publicznej wiadomości w gazecie „Kontakty” na koszt ukaranego. Obciążło kosztami postępowania w kwocie 150 zł za to, że w dniu 18 września 1986 roku o godz. 14.00 w restauracji „Turystyczna” w Kolnie, będąc po spożyciu alkoholu, zakłócił ład i porządek publiczny w ten sposób, że wszczął awanturę z Wiesławem Żelaznym szarpiąc się, przy czym donośnym głosem używał słów wulgarnych uznanych powszechnie za nieprzyzwoite.

K-385

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Kolnie w postępowaniu przyspieszonym w dniu 1986.09.29 prawomocnym orzeczeniem z art. 51 § 2 kw. ukarało ob. Wiesława Żelaznego, s. Antoniego, zam. Kolno, ul. Łabno Małe 31, karą zasadniczą grzywny w wysokości 40 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 80 dni aresztu zastępczego, przyjmując równoważnik pieniężny 500 zł za jeden dzień aresztu, orzekło jako karę dodatkową i podanie orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt obwinionego, zobowiązując się ukaranego do wyremontowania uszkodzonej przez niego celi aresztu. Obciążło kosztami postępowania w kwocie 150 zł za to, że w dniu 18 września 1986 roku o godz. 14.00 w restauracji „Turystyczna” w Kolnie, będąc po spożyciu alkoholu, zakłócił ład i porządek publiczny w ten sposób, że wszczął awanturę z Józefem Szostkowskim szarpiąc się, przy czym donośnym głosem używał słów wulgarnych uznanych powszechnie za nieprzyzwoite.

K-386

KOMUNIKAT

Do właścicieli, administratorów nieruchomości, osiedlowych komitetów, samorządu mieszkańców oraz przedsiębiorstw na terenie miasta Łomży. W związku ze zbliżającą się porą zimową URZĄD MIEJSKI w ŁOMŻY

PRZYPOMINA

Że na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 30 września 1980 r. w sprawie ochrony środowiska przed odpadami i innymi zanieczyszczeniami oraz utrzymania czystości i porządku w miastach i wsiach (Dz. U. nr 24, poz. 91) zabezpieczenie posesji przed zimą oraz utrzymanie ich w należytym stanie należy do obowiązków jednostek organizacyjnych oraz osób fizycznych będących właścicielami lub zarządcami nieruchomości. Właściciele nieruchomości lub osoby działające w ich imieniu winny przed nastaniem mrozów:

1. Oczyszczyć posesję z liści i chwastów.
2. Przygotować piasek do usuwania śliskości z chodników oraz z polowy szerokości jezdni przylegającej do posesji.
3. Zabezpieczyć ujęcia wodne oraz przewody wodociągowe i kanalizacyjne przechodzące przez pomieszczenia nieocieplane odpowiednią izolacją.
4. Nie dopuszczać do oblodzenia pokryw żeliwnych od zasuw, hydrantów i studni rewizyjnych oraz publicznych źródeł wodociągowych, krótek ściekowych itp. uzbrojenia sieci wodno-kanalizacyjnych, które znajdują się przed posesjami.
5. Nie składować śniegu i lodu na wyżej wymienione uzbrojenie ulicznej sieci wodno-kanalizacyjnej.

Wykonanie powyższych zaleceń winno być zakończone do dnia 15 listopada 1986 r. Niezastosowanie się do powyższego narazi może na poważne szkody materialne właścicieli posesji lub osoby w ich imieniu działającej, jak również spowodować pociągnięcie winnych do odpowiedzialności.

URZĄD MIEJSKI w ŁOMŻY

SAMODZIELNY ODDZIAŁ WYKONAWSTWA INWESTYCYJNEGO
w Łomży, ul. Wozniowska 28, telefon 29-38

PILNIE ZATRUDNI

▼ kierownika brygady remontowo-budowlanej
Wymagane wykształcenie średnie budowlane plus 5-letni staż pracy i uprawnienia budowlane.
Warunki pracy i płacy do uzgodnienia na miejscu.

K-404

FPU ZAKŁAD Nr 3 w KOLNIE

ZATRUDNI:

- * inżyniera mechanika na stanowisko kierownika dz. remontowego,
- * inżyniera mechanika na stanowisko kierownika dz. techniczno-konstrukcyjnego.

Warunki płacy do omówienia na miejscu. Zakład posiada jedno mieszkanie kwaterunkowe.

K-403

Opolem

PSS w ŁOMŻY

z dniem 28.10.1986 r.

URUCHAMIA

punkt wolnorynkowej sprzedaży

mięsa z uboju gospodarczego na zapleczu sklepu nr 11 przy ul. ks. Kard. Wyszyńskiego (dawny sklep rybny).

Punkt usługowy czynny będzie we wtorki, piątki, soboty w godz. 8.00—17.00.

Zainteresowanych sprzedażą prosimy o kontaktowanie się z pracownikiem punktu: tel. 51-97.

K-411

SPÓŁDZIELNIA TRANSPORTU WIEJSKIEGO
Oddział w Zambrowie

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

który odbędzie się w dniu 86-11-14 o godz. 11.00 w świetlicy STW przy ul. Mazowieckiej 57 w Zambrowie na następujący sprzęt:

Przyczepa D-46A nr fabr. 6320, rok prod. 1979, cena wywoławcza 96 690 zł.

Przyczepa D-46A nr fabr. 3313, rok prod. 1979, cena wywoławcza 87 900 zł.

Przystępujący do przetargu winien wpłacić do kasy Oddziału STW w Zambrowie wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej najpóźniej do godz. 10.00 dnia 86-11-14.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

K-402

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE „MONDEX”
w Czerwonym 131, 18-500 Kolno, tel. 26-47

ZATRUDNI NATYCHMIAST:

- * wykwalifikowanych stolarzy, brygadzystów, płace bardzo wysokie, zapewniamy dojazd z Łomży,
- * zakupi każdą ilość drewna tartacznego i tarcicy iglastej po cenach umownych.

K-383

PAŃSTWOWY OŚRODEK MASZYNOWY
w Łomży, ul. Świerczewskiego 147

OGŁASZA

przetarg nieograniczony na sprzedaż:

1. Samochód „Nysa-522T”, nr podwozia 215954, rok produkcji 1978. Cena wywoławcza — 134 000 zł.
2. Samochód dostawczy „Żuk A-05” nr podwozia 116390, rok produkcji 1971. Cena wywoławcza — 166 000 zł.
3. Samochód dostawczy „Żuk-16B”, nr podwozia 251985, rok produkcji 1976. Cena wywoławcza — 182 000 zł.
4. Odsnieżarka wirowa „OL-55” nr fabryczny 10, rok produkcji 1979. Cena wywoławcza — 49 631 zł.

Ww. sprzęt można oglądać codziennie w godzinach 7.15—15.15 w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Łomży.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić do kasy POM w dniu przetargu.

Przetarg odbędzie się dnia 6 listopada 1986 roku o godzinie 10.00 w świetlicy POM. W przypadku niesprzedania sprzętu w pierwszym przetargu, drugi przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godzinie 13.00.

Zastrzega się unieważnienie przetargu bez podania przyczyn.

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE „HANYSAN Ł”

w Łomży, ul. Świerczewskiego 78, tel. 62-20

- ♦ OFERUJE DO SPRZEDAŻY grys granitowy Ø 3, 6, 10, 16.
 - ♦ PRZYJMUJE PRZEDPŁATY na wyroby lastrikowe: parapety, płytki podłogowe, nagrobki i inne wyroby,
 - ♦ ZATRUDNI wysoko wykwalifikowanych pracowników, lastrarzy, kamieniarzy, kierowcę-operatora dźwigu, tokarza-ślusarza.
- Informacje można uzyskać w biurze w godzinach od 8.00 do 15.00.

K-5383

ogłoszenia drobne

SPRZEDAM dom. Łomża, Nowogrodzka 238.

K-5225

POSZUKUJĘ pokoju lub zaopiekuję się dzieckiem za mieszkanie. Oferty: kwit nr 5382, Łomża, Świerczewskiego 7.

K-5382

SPRZEDAM wykończony wolnostojący dom piętrowy. Łomża, Piaskowa 33.

K-5389

KUPIĘ mak. Tel. 57-60 (po godzinie 19.00).

K-5388

ZGUBIONO prawo jazdy kat. ABCE. Zanon Kowalski, 18-400 Łomża, Wesoła 93.

K-5387

ZGUBIONO prawo jazdy nr 0426/77. Maria Wierciszewska, Wizna, Cmentarna 4.

K-5386

ZGUBIONO prawo jazdy kat. AB, nr 13856/84. Jan Korytkowski, Łomża, Sikorskiego 101.

K-5385

ZGUBIONO prawo jazdy. Krzysztof Kapelowski. Niewodowo 25, 18-421 Drozdowo.

K-5384

SKRADZIONO prawo jazdy kat. ABCE, nr 00092/71. Józef Mierzejewski, Przybórowo 17, gm. Grabowo.

K-5390

0,5 ha sprzedam z prawem budowy. Łomża, tel. 65-62.

K-5391

15

KONTAKTY

1986-11-02

redaktor naczelny, 57-11 (2-ca redaktora naczelnego) Białostockie Wydawnictwo Prasowe 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 1730/86 r. Nakład 20.700 egz. PL ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”. 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata: kwartalnie — 195 zł, półrocznie — 390 zł, rocznie — 780 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skróć i zmiany tytułów R-2.

KONTAKTY

organ jamoisty
pod redakcją
Wiesława Jagiełki

KONSZACHTY

NOC MIŁOŚCI

Czy pamiętasz tę noc nad jeziorem,
Kiedy razem siedzieliśmy tu?
Przyrzekałeś, że mnie nie opuścisz
Że na zawsze będziesz moim już.

Ta noc utkwiała mi w pamięci
Pamiętam nasze słowa i mówiliśmy tylko o miłości
Czułam wtedy, jak moje serce bije
przyspieszonym rytmem

W myślach mam obraz Twojej twarzy
Nigdy jej nie zapomnę
Ciągłe marzę o tym
Aby znów być z Tobą tak blisko

Tak bardzo chciałabym
Abyś wyznał mi swoją miłość
Jesteś dla mnie tym Jedynym
Chłopcem, o którym sniłam mi się wspaniałe sny!

Nota biograficzna: G.R. (bliższych danych, niestety, brak).

z pamiętnika seksualisty (118)

— Niby ja? — zapytałem
głupawo.

— Niby ty, młodzieńcze ka-
prawy — odpowiedziało straszli-
wie babsko. — Czyżbyś dyla-
dać zamierzał, nas w potrze-
bie okrutnej pozostawiając?

— Skądże! — wrzasnąłem
gromko, zjadliwym głosem
brodątej baby wystraszon. —
Chciałem tylko pokontem-
pować chwilę parę, co mi się
prawnie należy przed tak tru-
dnym, jak to, zadaniem. Czy-
liż wielu mężczyzn obsłużyć
zdoła naraz sto bab i jeszcze
na dodatek trzynastę? Muszę
spać się w sobie, zebrać
wszelkie moce w garść i nie
tylko tamże. Jeśli tego nie zro-
bie, na nic będą wasze tutaj
oczekiwania. Tak już zosta-
łem przez matkę-naturę skon-
struowany, i nie na to nie
poradzę.

Baby, w liczbie stu i trzyna-
stu, popatrzyły na siebie u-
ważnie, po czym jedna z nich,
zonglerka pedrylistyczna bo-
daże, tak oto powiada: —
Może i rację ma ów młodzian
tegnonista. Toć i ja nawet w

swym długim życiu nigdy je-
szcze nie słyszałam, aby jeden
chłop obalił więcej niż pięć-
naście kobiet w ciągu siedmiu
godzin, czyli normalnego cza-
su obowiązkowej pracy. Ten
zasię ma to zrobić z całą na-
szą zgłą, tedy dajmy się mu
skoncentrować, gdyż byłoby
marnie, gdyby przy trzydziest-
tej ducha wyzionął, albo, co
gorsza, ogłosił kapitulację.

— Prawdę mówię! — wrzas-
nęła jedna z woltyżerek, na
hipopotamie jeżdżąca. — Ja
swego czasu trzydziestu trzech
byłam wytrzymałam, a później
już nie pamiętam, co było
dalej. Tak i tego tutaj mło-
dziana zamknąć trzeba w ko-
morze ciasnej, iżby sił wital-
nych do sprawy ogólnej na-
brał.

— Oj, durne wy baby! —
krzyknęła dla odmiany kobie-
ta-guma, co można było po-
znać po gumowych podwiąz-
kach, jej jedynym przybraniu
ciała. — Nie widzicie, że on
chce nas oszukać?



Rys. Henryka Cebuli

PODREDAKCyjNA EKSTRAPOCZTA

Motto:
Dobrze czy źle
było dużo.

„Kochany Panie Redaktorze!
Nie wiem, czy moja prośba
wyda się Panu możliwą do
spełnienia. Chciałabym, aby
mój «wiersz» został zamiesz-
czony w «KFzW». Zdaje sobie
sprawę, że nie jest to taki
prawdziwy wiersz z «krwi i
kości» — jeżeli można to tak
powiedzieć, ale chciałam tym
utworem sprawić przyjemność
wiadomej mi osobie. Napisany
wiersz dedykuję J.M. z L-6
(szczęść)

Motto: Ja nie chcia-

...i reasumując, powiem
muszę stwierdzić, że odpo-
wiedzialność, iż przedsta-
wione tutaj fakty zostały prze-
mnie umotywowane w sposób
nie budzący żadnych wątpli-
wości i nie mogą zostać od-
rzucone li tylko z powodu, że
nie przedstawił ich czynnik o-
ficjalny w postaci wyznaczo-
nych do tego celu urzędników,
którzy pracują zbyt opieszale
aby móc polegać na ich
zdaniu, lub też mógł polegać
kto inny, z odnośnych urzęd-
ników, do których kieruję ni-
niejszą odwołanie, w sprawie
oznakowanej waszą parafką
BK/S 12971-32/86, co zostało
potwierdzone przez wyżej po-
dane argumenty nie do odpar-
cia, a co zawsze można po-
twierdzić stosując wizję prze-
prowadzoną w naturze, na
podstawie wymienionych wy-
żej przesłanek [...].”

ponadgminne

W „Prawie i Życiu” ukazał
się artykuł (?) pewnego pana,
który postuluje utworzenie i
zalegalizowanie organizacji
zrzeszającej homoseksualistów.
Korzyści z tego płynące mają
być jakoby rozliczne, łącznie
z niedopuszczeniem do roz-
przestrzeniania się straszliwej
choroby o nazwie AIDS. My
ze swej strony nie mamy -
przeciwko temu, wszelako nur-
tuje nas pytanie, czy po za-
wiązaniu takiego ogólnopól-
skiego związku zyska on o-
sobowość prawną, ze wszyst-
kimi konsekwencjami, wyni-
kającymi z tego faktu? Zna-
jąc bowiem prawidłowości
naszego życia społecznego, o-
czywista duszy widzimy już or-
ganizowane w przyszłości kon-
gresy, konferencje, kursy, na-
rady i szkolenia, domyślamy
się wniosków o dotacje pań-
stwowe oraz przydział de-
wiz na umacnianie bratnich
kontaktów zagranicznych.

Co będzie, jeśli zachęcane
przykładem swój związek u-
tworzą również lesbijki? Czy
aby na pewno stać nas teraz
na to?

KOMENTATOR

POLITYCZNA KATEGORIA TYGODNIA

UNIARKOWANY

OPTYMIZM PESYmistyczny

PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMA INTERPERSONALNO ADMINISTRACYJNY PT

SZCZĘŚLIWY POWRÓT

(Miejsce akcji: pulwy nad-
narwiańskie w pobliżu woje-
wódzkiego miasta Łomża, gdzie
krze jeno a mamory oraz o-
czyszczalnia ścieków. Przy
niezbym wesoło trzaskającym
ogniu rachitycznego ogniska
siedzą cztery znane nam do-
brze diabły).

SUPRASKI: No, kulięgo Bu-
zański, to weźnijcie i brońcie
swojego doktoratu, jakości
tydzień temu zapowiadali.

BUZAŃSKI: — Ale! Przez
ten tydzień już się wzięłem i
habilitowałem. Musiecie bo-
wiem wiedzieć, iż na mej u-
czelni nadzwyczaj Podlaskiej,
zaliczany jestem do tak zwa-
nych naukowych diabłów.

BIEBRZAŃSKI: — A u nas,
w Goniendzu...

NARWIAŃSKI: — Ciska!
Powiadacie, diable, iżeście na-
ukowcem zostali?

BUZAŃSKI: — A jakże! Z
braku innej kadry, już tylko
za same kopyta docentem
mnie mianowali. Jutro, lub po-
jutrze, profesorem będę za-
pewne bardzo zwyciężajmy.
Tak się karierę robi, przyja-
ciele moi głupawi!

SUPRASKI: — Skoro jeste-
ście naukowcem takim, to mi
powiedźcie, coście dotąd wy-

naukowali? Może prawo od-
kryliście jakie, albo proch
przynajmniej?

BUZAŃSKI: — Głupiecie,
kumie rogaty. Na jakim wy-
zyjęcie, że tak powiem, pa-
dole ziemiastym? Czasy sa-
motnych odkrywców minęły
już dawno. Dzisiaj profesor w
pierwszym rzędzie odkrywa
swoje karty w postaci asysten-
tów, którzy za niego całą pra-
cę odwalają. Pod warunkiem,
rzecz jasna, że w ogóle idzie
jakaś praca, w danej katedrze
dajmy na to. Ot, taka to praw-
da.

BIEBRZAŃSKI: — A u nas,
w Goniendzu...

NARWIAŃSKI: — Cichaj-
cie, diable! Skoro to tak za-
wa sprawa, to i ja też na-
ukowcem być pragnę.

BUZAŃSKI: — Etykę za-
wodową posiadacie?

NARWIAŃSKI: — Jak
wszyscy diabli!

BUZAŃSKI: — No to jaka
sprawa?! Mianuję was asys-
tentem doktoranckim. Napi-
szcie jaką pracę, albo, jeśli
czasu przypadkiem nie posia-
dacie, zapłaćcie komu, żeby
napisał za was. I tak prawie
wszystkie one idą, że tak po-
wiem, do diabła!

(Cdn.)

KRYZYSOWE JEDNO DANIE

GULASZ POSCHABOWY

Kości schabowe obrać z
resztek mięsa, pociąć siekiera
na kawałki mniej więcej cen-
tymentrowej wielkości. Mięso
przepuścić przez wyzmaczkę,
aby w ten sposób uzyskać
cienkie, lecz duże płaty, w
które następnie owijamy ko-
steczki. Teraz wszystko to
wkładamy do kotła, przesypu-

jemy mialką solą i dusimy ra-
zem z resztkami suchego chle-
ba. Pod koniec dodajemy tro-
ciny sosnowe, biorąc 1 kg na
1/4 kg odwaru i wywaru.
Jeść na zimno, nie patrząc na
pokarm wkładany łyżką do
ust.

GOSPODYNI

uniwersalna
wroźba
tygodnia

Jeśli już musisz pisać te a-
nomie, rób to ze słownikiem
ortograficznym w ręku. Po-
pelniasz ciadło te same błędy

zarówno w Twoich listach bez
podpisu, jakie kierujesz na re-
ce dyrektora zakładu, jak i we
wszystkich sporządzanych
przez siebie służbowych no-
tatkach. Jeśli zatem nie po-
prawisz ortografii, w tym ty-
godniu czeka Cię całkowita
dekonspiracja.

KASSANDER